
AS
Nr. 22
22 MAJA 1939 ROKU
CENA 40 GROSZY
WYRUSZAMY NA WAKACJE!
Artystka filmowa
Dorothy Arnold

Czasy szkolne przed wielu laty

ANTONI WYSOCKI

WSPOMNIENIE

Czytanki ludowe czy wypisy dla szkół wyższych miały przy pomocy anegdot z życia cesarzów, Leopoldów i Józefów, o ich humanitarnych uczynkach, wychować uczniów na patrjotów austrjackich. Rząd nie był tak bezczelny, jak rosyjski, który na ziemiach polskich wznosił pomniki ku czci carów. Katarzyny II w Wilnie, cara Aleksandra II „oswobodziciela" w Częstochowie, złowrogiej pamięci generałów, Murawiewa i Paskiewicza, a rząd niemiecki pomnik Bismarcka, ale nie zaniechał sposobności do urabiania lojalności wiernopoddańczej, i to już w duszy uczniów szkół ludowych i gimnazjalnych.

Malarz Włodzimierz Tetmajer skarżył się :

— Taką trucizną dziwnie podstępnie można zakażać myśl dziecka i atmosferę domu. Ja nie dawałem się w szkołach nabierać na to „austrjackie gadanie".

Włodzimierz Tetmajer, brat poety Kazimierza, wspaniały artysta, uczeń mistrza Matejki, wniósł po powrocie z Monachjum nowe, kolorowe spojrzenie na krajobraz. Szczera dusza, „gospodarz" „Wesela" Wyspiańskiego, ożeniony z Mikołajczykówną, córką gospodarza z Bronowic, z jakąż głębią uczucia deklamował strofy „Beniowskiego" i „Pogrzeb kapitana M.". Entuzjasta poezji, nie tylko Słowackiego, ale i charakterystycznych piosenek dawnych czasów, intonował przy kieliszku i porywał słuchaczów piosnką „Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami".

Z pasją mówił o tych rzekomą dobrotliwością natchnionych opowiadaniach, jak to cesarz Józef II udał lekarza w jakiejś ubogiej izbie i niby zapisując receptę, wypisał kwit do kasy państwowej na 25 dukatów. Albo że cesarz Leopold podwiózł kulawego żebraka swym powozem.

— Odrazu przenikałem, o co chodzi. Wiedziałem zaraz, że jeden i drugi, to łajdaki. Jeden przepełniał Polakami więzienia w Tyrolu i Styrji, zagrabił w Galicji dobra kościelne i królewszczyzny. Drugi machiawelsko siał nienawiść między Polakami i Rusinami. Znamy ich. A moje dzieci o mało dałyby się w szkole złudzić temi powiastkami o samarytańskiem, a może i polskiem sercu, tych perfidnych władców.

Tetmajer niewiele się mylił.

Nie tyle oni, ale ich ministrowie i cały administracyjny urzędniczy aparat, złożony w znacznej części ze zniemczonych Czechów, dążył do zaustrjaczenia społeczeństwa.

Zaczynano od szkoły.

Wprawdzie nie pisano w podręcznikach szkolnych, że cesarzowa Marja Teresa płakała przy akcie podpisywania karty rozbiorów Polski, ale ta legenda długo pętała się w opinji ku zbudowaniu czci dla domu Habsburskiego, w takt melodji hymnu Haydna, „hymnu ludów", „Boże wspieraj, Boże ochroń, nam cesarza i nasz kraj".

Wypisy składały się z odpowiednio dobranych urywków z utworów polskiej prozy i poezji. O ile zaś wydało się cenzurze, że jakaś myśl byłaby zbyt śmiała dla młodych polskich umysłów, to bez ceremonji opuszczano w tekście wiążące ją słowa.

W „Panu Tadeuszu" w wierszach:

„Niech żyje, krzyknął sędzia, wznosząc wgórę flaszę, Miasto Gdańsk, niegdyś nasze, znowu będzie nasze" —

Rada Szkolna we Lwowie „zgilotynowała" drugi wiersz, mimo, że widocznie nie rymowały się z sobą. Ale nauczyciele, poloniści, niejako w zrozumieniu, że weirsz ten opuszczono przez pomyłkę, kazali go uczniom uzupełniać w książce.

Wiersz, dziwnie pomyśleć, jak po latach, w obecnej chwili, świeży, jak aktualny!...

Także ci nauczyciele oddziaływali w duchu narodowym na młodzież przez urządzanie uroczystych wieczorów ku czci Mickiewicza, z recytacją zbiorowych scen z „Pana Tadeusza" i z „Dziadów", i trzeba przyznać, bez przeszkód ze strony miejscowych władz przełożonych. Złotemi głoskami zapisał się w tej akcji śp. profesor Szymon Matusiak i znakomity filolog prof. Artur Passendorfer, autor „Błędów językowych" i dramatu o Napoleonie.

Wolność w wyrażaniu tych uczuć uwydatnia się tem jaskrawiej, jeśli się ją zestawi ze stosunkami w gimnazjach rosyjskich i pruskich na obszarze Polski.

W Królestwie przedstawił te stosunki wstrząsającem piórem Stefan Żeromski w powieści „Syzyfowe prace". Syzyfowe, bo nie zdołały przytłumić głosu serc młodzieży. Taka scena, gdy studenci w sali szkolnej strażują u drzwi wychodzących na korytarz, w czasie lekcji polskiego po rosyjsku, a profesor Polak, przemilcza, niby nie słysząc, że uczeń wypowiada mickiewiczowską „Redutę Ordona" — „nam strzelać nie kazano" — ta scena godna jest, jako oprawa, natchnienia wieszcza.

A przeszpiegi, jak sieć pajęcza, organizowana przez Apuchtina, kuratora warszawskiego okręgu naukowego, to koszmarna epoka życia młodego pokolenia, wzrastającego wówczas „młodego lasu".

Także podobno, choć innemi, bardziej skomplikowanemi metodami szykanowano uczniów w szkołach w Wielkopolsce, Śląsku i Pomorzu, aż do wrzesińskiej tragedji. Ukazał tę martyrologję młodzieży Henryk Sienkiewicz w noweli „Z pamiętników poznańskiego nauczyciela", mając zresztą, pod tym tytułem, także na myśli szkoły w Królestwie, z językiem wykładowym obcym, rosyjskim, szpiegostwem, łapówkami i „wilczym biletem", który tamował możność studjów w innym zakładzie naukowym, po opuszczeniu tego, w którym myślenie ucznia uznano za nieprawomyślne.

Takich szykan w galicyjskich szkołach nie było, a niemal humorystyczne hodowania patrjotyzmu austrjackiego nie wynaradawiały umysłów. Z tego pokolenia byli pisarze, Stanisław Wyspiański, Lucjan Rydel, obaj, Włodzimierz i Kazimierz, Tetmajerowie, zapomniany poeta Tatr Adam Nowicki i inni, trudno wszystkich wyliczyć.

Inaczej w obowiązującej służbie wojskowej.

Tam już nie było żartów.

Egzamin na oficerów rezerwy odbywał się po niemiecku na podstawie niemieckich podręczników dla nauki wiedzy wojskowej. Niemiecka była komenda. Inna rzecz, że rekruci bezwiednie polonizowali słowa komendy. Wytwarzała się specjalna gwara, która i dziś serdecznie mogłaby ubawić językoznawcę.

Nie od rzeczy będzie stwierdzenie, jaki był wzajemny do siebie stosunek uczniów, Polaków i Rusinów?

Jak najlepszy.

Tak na przykład:

W Jaśle dyrektorem gimnazjum był śp. Sienkiewicz, Rusin. Profesorowie z wyjątkiem dwóch, profesora literatury polskiej, Maślaka, Rusina i profesora matematyki, Kosteckiego, Rusina, inni, członkowie nauczycielskiego grona, Polacy. O jakichś między nimi starciach, niechęciach i rozdźwiękach na tle politycznem, nie było mowy. Żyli z sobą przykładnie, przyjacielsko, nie czyniąc względem uczniów różnicy w traktowaniu ich, czy byli tej czy tej narodowości. Cechy te miały znaczenie, czysto, wyłącznie w różnicy obrządków rzymsko i grecko katolickich.

Dyrektor Sienkiewicz o co dbał? O naukę i porządek. To też gdy zgłosili się wydaleni z gimnazjum w Samborze czterej uczniowie ukończonej siódmej klasy, o przyjęcie ich do klasy ósmej (wydaleni za awantury pijackie), prośbie ich odmówił. Wszyscy czterej, Rusini, Smoleński, Szczawiński, Kłak i Bachrynowski, mieli na świadectwach dobre stopnie z nauki, a fatalne, naganne z zachowania się, jak opiewała rubryka ówczesnych blankietów świadectw „z obyczajów".

Dyrektor odmówił prośbom, błaganiom i radził, aby w innem mieście, w innem gimnazjum szukali szczęścia. Niech jadą! Może do Bochni, Tarnowa, Nowego Sącza. Tu, w Jaśle nie mają na co czekać.

Było to w sobotę.

W niedzielę odbywało się uroczyste nabożeństwo, przy udziale uczniów, już do gimnazjum zapisanych, profesorów i publiczności całego miasta. Nauka miała się rozpocząć w poniedziałek. Czy czterej kandydaci do ósmej klasy, nieprzyjęci przez dyrektora, wyjechali z Jasła? Nikt nie wiedział. Nikt się o to nie troszczył.

Na chórze z rozpoczęciem mszy św., śpiewał zespół kilkunastu uczniów z minionego roku, pod kierunkiem nauczyciela śpiewu i akompanjamencie organów. Nagle, po chwili ciszy, rozległa się z chóru melodja, rozłożona na cztery głosy, słynnego „Ave Maria" Gounod'a.

Dreszcz wstrząsnął mury.

Kto to śpiewał?

To nie był chór szkolny.

W cudnej harmonji, na podłożu basu, prowadził melodję pierwszy tenor, a wtórowali mu dwaj tenorzy drudzy. Zasłuchali się ludzie, zasłuchały się mury, w natchnioną pieśń francuskiego kompozytora.

Już wiedziano, kto to był?

To oni.

Ci czterej, synowie diaków cerkiewnych, od dziecka w chóry cerkiewne, tego, jak Włosi, utalentowanego w śpiewie narodu, wsłuchani.

Skończyła się msza. Wierni wychodzili z kościoła, ale nie odchodzili z kościelnego dziedzińca. Czekali, co będzie.

Dyrektor, starszy pan o zdrowej cerze, otwartej twarzy, siwych szumiastych wąsach i niewinnych niebieskich oczach, bronił się przed oblężeniem. Wszyscy, ksiądz kanonik Nikiel, starosta Gabryszewski, burmistrz Mayzel i tłum pań, otoczyli go.

Prosili.

— Prosimy, prosimy.

Jeszcze spojrzeniem radził się profesorów, jeszcze się wahał, ale także chyba, jak wszyscy, pod czarem kwartetu.

Nie było rady,

Pogroził palcem.

Przyjął.

I nie zawiódł się, dobrze się ci chłopcy sprawowali, uczestniczyli w chórze szkolnym i gładko pozdawali matury. Z końcem roku, na podziękowanie i pożegnanie miasta zabrzmiał w kościele raz jeszcze ich kwartet „Ave Maria".

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU W LITWIE 50 CT.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 22 **Niedziela, 28 maja 1939** **Rok V**

Fot. Tadeusz Siemianowski — Zakopane.

Gdy naokoło nas szaleją coraz to gwałtowniejsze „wyczyny" polityczne i propagandowe naszych wrogów, Polska pewna patrjotyzmu swych obywateli i swej siły zbrojnej, stosuje metodę spokojnego i gotowego do odparcia możliwego napadu wyczekiwania. Na naszem zdjęciu oficer straży granicznej bada okolicę z gór Jaworzyny.

ASY NUMERU 22-GO: SZKOLNE CZASY WIELE LAT TEMU. Wspomnienie o szkołach zaborczych, które różnymi sposobami starały się urobić mentalność polskich dzieci w duchu lojalności względem zaborców. (Str. 2). — STUDIO 39 I „DNI KRAKOWA". Magazyn „As" przedstawia swym Czytelnikom najciekawsze szczegóły odnoszące się do wielkiego widowiska Niżyńskiego „Kawalera księżycowego", które stanowić będzie „clou" Dni Krakowa. (Str. 4—6). — JAK PAN (I) TRZYMA FILIŻANKĘ? Małe studjum przychologiczne, pozwalające nam poznać charakter człowieka po drobnych jego ruchach, ilustrowane ciekawemi zdjęciami. (Str. 11—12). — **Wesoły przewodnik po świecie:** AMERYKA. Dalszy ciąg naszego wesołego Baedeckera prowadzi nas tym razem do Nowego Świata. (Str. 15). — ZWIERZĘTA PRZED LUFĄ... APARATU KINOWEGO. Wrażenia swoje z lasu i pól pisze dziś, w wieku kina i samolotów, miłośnik zwierząt na taśmie filmowej, dając nam niezwykle ciekawe obrazy. (Str. 16—18). — RAFAŁ SCHERMAN OPOWIADA... Z pamiętników psychografologa. (Str. 19—20). — **Przebój muzyczny „Asa":** KIEDY POGODNE WRÓCĄ DNI... Tango — piosenka Pawła Kalety, słowa Gustawa Nowaka. (Str. 22). — ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU WIELKANOCNEGO „ASA". (Str. 26). — Nowele. — Kącik filatelistyczny. — Kosmetyka. — Moda dziecięca. — Dział gospodarstwa domowego. — Humor. — Rozrywki umysłowe. — To co najcelniejsze w literaturze, na scenie, w radjo.

STUDJO 39 I „DNI KRAKOWA"

Powyżej: Twardowska i Twardowski z „Kawalera księżycowego" Niżyńskiego — kostjumy proj. T. Orłowicza.

Zbliżają się Dni Krakowa, które stały się wydarzeniem o znaczeniu, przekraczającem niepomiernie ramy lokalne. Interesują one dziś całą kulturalną Polskę. W tym okresie (od 3. VI. do 24. VI.) szczególnie tłumnie zciągają do Krakowa przybysze z najodleglejszych zakątków kraju, pragnąc zetknąć się osobiście z przepojoną wiekową tradycją atmosferą Grodu Podwawelskiego.

Te szacowne pamiątki dawnej przeszłości, na których ślady raz po raz natrafiamy w Krakowie to jedna, najbardziej znana strona medalu. Ale jest jeszcze — Kraków współczesny, żywy, idący naprzód, który także warto poznać... Dni Krakowa dają właśnie możność najpełniejszego zbliżenia do tego miasta o niezwykłym, przedziwnym uroku, który zniewala wszystkich, nieobojętnych na wzruszenia mniej codzienne.



Dr Tadeusz Kudliński, kierownik „Studja 39" (na prawo z książką w ręce) udziela wskazówek wykonawcom widowiska.



Poniżej: Kostjum Niewiastki — proj. T. Orłowicza.

Jedną z atrakcyj Dni Krakowa są przygotowywane zawsze z rozmachem widowiska plenerowe, rozgrywające się na tle murów wawelskich, bądź Barbakanu, bądź dziedzińca „Collegium Nowodworskiego", bądź wreszcie dawnego gmachu Bibljoteki Jagiellońskiej.

Przed dwoma laty niemałym sukcesem cieszył się „Kopernik" Ludwika Hieronima Morstina, wystawiony na dziedzińcu wawelskim przy udziale wielkiej liczby statystów, w przepięknych kostjumach. Było to prawdziwie feeryczne widowisko!

W roku ubiegłym przewinęło się mnóstwo publiczności przez Barbakan, którego obronne mury stanowiły naturalne tło dla widowiska w stylu średniowiecznego moralitetu pt. „Igrce w gród walą" pióra Adama Polewki. „Igrce" znajdą się znowu w tegorocznym programie „Dni Krakowa".

Drugiem widowiskiem plenerowem w tym roku będzie „zabawa krakowska" o Twardowskim pt. „Księżycowy kawaler" pióra Marjana Niżyńskiego. Rzecz ta ukaże się na dziedzińcu „Collegium Nowodworskiego" w przygotowaniu „Studja 39".

Studjo to należy do krakowskiej „Konfraternji Teatralnej", która postawiła sobie za cel pobudzanie twórczości polskich pisarzy dramatycznych, danie im pola do wypróbowania pomysłów twórczych, skonfrontowania ich zdolności z praktyką sceny. Ponadto Konfraternia pragnie wyszkolić aktora, przygotowując zespół aktorski, o wysokich ambicjach. To zadanie spoczywa na „Studjo 39", będącem skróconym kursem gry scenicznej.

A teraz kilka słów o autorze „Księżycowego kawalera": Marjan Niżyński, choć mieszka ostatnio w Warszawie, jest autorem krakowskim, czującym dobrze uroki tego miasta. Zdobył on już pierwszą nagrodę na konkursie legjonowym za sztukę pt. „Trzy mgły", która następnie ujrzała światło kinkietów na scenie miejskiej im. Słowackiego w Krakowie.

Nowy jego utwór pt. „Księżycowy kawaler" przynosi ciekawe ujęcie legendarnej postaci Twardowskiego. Świat czystej fikcji łączy się tu z rzeczywistością, sen miesza z jawą, a przecież autor nie gubi się w abstrakcyjnych obrazach: daje rzecz pełną wigoru i barwy, życia i ruchu, treściwą a wyrazistą w stylu.

Nie brak też „Księżycowemu kawalerowi" szczypty soli attyckiej, krystalicznych ziaren „kawalerskiego" humoru, dodających mu „smaczku". Takie akcenty satyry czy ironji mają swoją tradycję w dawnym teatrze i w widowiskach tego typu. Epizody humorystyczne są dobrą odskocznią i pożądanem „intermezzo" dla scen poważnych czy nastrojowych.

Warto dodać, iż Niżyński opracował „Księżycowego kawalera" na zamówienie Krakowskiej Konfraternji Teatralnej, która w myśl swych założeń pragnęła mieć widowisko polskiego autora, opracowane z myślą o potrzebach Dni Krakowa.

Nie umniejsza to wartości sztuki Niżyńskiego, gdyż przy ocenie dzieła sztuki trzeba brać pod uwagę przedewszystkiem realizację pomysłu, natomiast kwestja bodźca artystycznego, który wpłynął na takie czy inne ujęcie utworu, jest sprawą drugorzędną, ciekawą jako przyczynek do poznania psychologji autora.

Aby uzyskać bliższe wyjaśnienia, dotyczące pracy „Studja 39", zwracamy się do jego kierownika, a zarazem kierownika Konfraternji znanego pisarza, autora „Rumieńców wolności", Tadeusza Kudlińskiego.

Kudliński od lat wojuje o prawa polskiego autora scenicznego. Szczególnie szerokiem echem odbiła się w całej Polsce dyskusja, rozpoczęta przez niego artykułami o „Mieliznach teatralnych", ogłaszanych na łamach „IKC".

— „Studjo 39" — objaśnia nas uprzejmie dr. Kudliński — jest „przybudówką" Konfraternji Teatralnej, ta znów powstała z inicjatywy krakowskiego Zw. Zaw. Literatów. — Nasz wysiłek idzie w kierunku poszukiwania polskiego stylu teatralnego. Chcemy pobudzić zainteresowanie sprawami teatru i to jest cel, który przyświeca Konfraternji.

Na początku roku 1919 stworzyliśmy „Studjo 39" dla wprowadzenia w czyn teoretycznych założeń. Studjo szkoli swych adeptów



W kole: Fragment dziedzińca Nowodworskiego w Krakowie, na którym odbędą się przedstawienia „Kawalera księżycowego".

Powyżej: Znaki Zodjaku z „Kawalera księżycowego", kostjumy proj. Tadeusza Orłowicza.

w sztuce gry aktorskiej i przygotowuje realizację sceniczną polskich utworów. W ten sposób torujemy drogę autorom i młodym adeptom sceny.

— A jaki jest zakres prac „Studja "? — pytamy.

— Przewidziano tu wykłady i ćwiczenia praktyczne. Profesorami są specjaliści z danej dziedziny. M. in. sprawą postawienia głosu zajmuje się p. Stromfeld, umuzykalnieniem wymowy prof. Meyerhold, wymową p. Białkowski, analizą tekstu p. Woźnik, charakteryzacją p. Stępniowski, szukaniem wyrazu w geście p. Łukaszewicz. Wśród wykładowców z zakresu teorji widnieją nazwiska pp. prof. Dybowskiego, L. H. Morstina, J. Wiśniowskiego, dra Dobrowolskiego, dra Leśnodorskiego, Goreckiego, Łukaszewicza, Polewki, Radulskiego...

W pierwszem półroczu istnienia „Studja" staraliśmy się głównie o rozwinięcie w uczniach przyrodzonych zdolności, jak postawienie głosu, jego umuzykalnienie, opanowanie gestykulacji it.p. Po okresie wykładów i ćwiczeń przystąpiono do wypróbowania zdobytych umiejętności w praktyce. Konfraternia zamówiła u Niżyńskiego rzecz o Twardowskim, u Bunscha o Wicie Stwoszu i u Goreckiego o bracie Albercie.

— Szło tutaj zapewne o oryginalne widowisko, związane tematycznie z Krakowem...

— Tak. Zarówno Twardowski, jak Stwosz czy brat Albert to postacie nierozerwalnie złączone w swej działalności z Grodem Podwawelskim.

Niebawem nasi adepci będą mogli zdać publiczny egzamin ze swych zdolności. W tym roku ograniczmy się do jednego widowiska — o Panu Twardowskim, które okazało się najłatwiejsze z różnych względów do realizacji.

Zdajemy sobie sprawę — mówi dalej Kudliński — że w tak krótkim przeciągu czasu (pół roku!) nie sposób wszechstronnie wyszkolić amatorów, debjutantów, niemniej jednak można im dać podstawowe wiadomości i zasadnicze przeszkolenie, które będzie wymagać pogłębienia i poszerzenia w dalszym okresie pracy.

Dążeniem naszem jest, aby „Studjo 39" przekształciło się w normalną szkołę dramatyczną.

Tyle dr. Kudliński. My ze swej strony możemy dodać, iż szkoła dramatyczna w Krakowie oddałaby niewątpliwie duże usługi sprawie teatru w Polsce. Pamiętamy szkołę miejską, która istniała po wojnie w Krakowie pod dyrekcją J. Wiśniowskiego; z pośród jej adeptów wielu wybiło się na pierwszy plan, błyszcząc dzisiaj talentem pierwszej jakości.

Mieliśmy okazję być na próbie „Księżycowego Kawalera" w lokalu Konserwatorjum i przekonać się, z jakim zapałem wszyscy pracują.



Scena Zodjaku. — Na pierwszym planie reżyser Karol Łukaszewicz, za nim dr. Kudliński.

Na lewo: Część wykonawców przypatruje się próbie — stoją wykonawczynie fragmentów baletowych widowiska: p. Ungeheyer i p. Skirlińska, mistrzyni Polski w gimnastyce.

Na prawo: Pani Twardowska i Niewiastki.



Poniżej: Twardowski wyczarowuje ducha Barbary.



W kole: Kierownicy „Studja 39" przy Krak. Konfraternji Teatralnej (od prawej): pp. dr. Tadeusz Kudliński, Wiesław Gorecki i prof. Kazimierz Meyerhold.



Wśród obecnych, widzimy sporo młodzieży; najwidoczniej teatr od wczesnych lat potrafi przykuć do siebie. Młodzi adepci ze skupieniem i przejęciem słuchają objaśnień reżysera p. Łukaszewicza i kierownika „Studja 39", Tadeusza Kudlińskiego.

Nie chcąc przeszkadzać w pracy, zaszywamy się w kąt sali wraz z „okiem prasy", czyli fotografem koncernu IKC. Zamierzamy przecież schwycić „na gorąco" fragmenty próby. Wszystko musi dziać się najnormalniej, jakgdyby nigdy nic, jakgdybyśmy nie mieli zamieru utrwalać kilku charakterystycznych epizodów „Księżycowego kawalera" — w momencie ich krzepnięcia scenicznego i przybierania wyrazu teatralnego...

W tem z wysokiego podjum odzywa się fortepian... Rytmiczne jego dźwięki wprawiają w miarowy ruch grupę dziewcząt, z której po chwili formuje się długi wąż, otaczający jakąś postać niewieścią, żywo gestykulującą. To pani Twardowska i Niewiastki. Wsłuchujemy się w potęgującą się falę melodji o przedziwnem brzmieniu i w jej nastroju, podmalowanym oryginalną harmonją i rytmiką, odnajdujemy wątek treści tej sceny, przepojonej lękiem przed działaniem „sił nieczystych". Ta niezwykła plastyka stanowi zasadniczy walor muzyki Stanisława Mikuszewskiego, napisanej przez utalentowanego kompozytora do widowiska Niżyń

Dokończenie na str. 31-ej.

REPORTAŻ FOTOGRAFICZNY MAGAZYNU „AS"

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Na znaczkach W. Miasta Gdańska widzimy największe znakomitości świata lekarskiego, przyczem nie potrzeba wyjaśniać kim był Robert Koch lub Wilhelm Roentgen. Wykonanie egzemplarzy — jest jednolite dla całej serji (przy formacie 33×40 mm), gdyż heljograwura oddaje do-



Dwa znaczki od lewej i prawej strony tworzą serję, wydaną z okazji 50-lecia istnienia kolei żelaznych w Bułgarji. Trzy znaczki (w środku Gdańska) noszą wizerunki uczonych G. Mendla, R. Kocha i W. Röntgena.

skonale wyraz twarzy uczonych. Wiadomo nam dobrze z doświadczenia lat ostatnich, że zainteresowanie filatelistów wzmaga się zawsze wtedy, gdy przychodzi chwila rozwiązania problemów politycznych. — Tak też i teraz, ci zbieracze na zachód od Zbąszynia, którzy łudząc się, że nastąpi zmiana status quo przy ujściu Wisły, wykupują zgóry znaczki gdańskie, mogą się w tym wypadku pomylić. Nie przypuszczamy bowiem, aby ta serja dostarczana masowo przez nasze firmy po 80 groszy, miała wkrótce zwyżkować w cenie.

Każdy człowiek ma swe słabostki i nie są od nich wolni nawet monarchowie. Jeden z nich, a mianowicie car Bułgarji Borys, jest zapalonym maszynistą i przy jubileuszu 50-lecia (zaledwie!) kolei bułgarskich, pokazano nam władcę w oknie lokomotywy, na najrzadszym znaczku serji.

Zapowiedziane już marki angielskie, które ukażą się w stuleciu wprowadzenia w obieg pierwszego znaczka, powinnyby więc przedstawiać m. in. króla Jerzego V. jako filatelistę.

W. H.





„Pojmuję Cię za żonę Jolanto....."

SPEŁNIAJĄ SIĘ MARZENIA DZIEWCZĄT DBAJĄCYCH O SWĄ CERĘ

BYŁAŚ WPROST CZARUJĄCA JOLANTO! MYŚLAŁAM PATRZĄC NA CIEBIE: „OTO SZCZĘŚLIWA PANNA MŁODA, GDY CERA JEJ JEST TAK DZIEWCZĘCO PIĘKNA"



CZY UWIERZYSZ? ZANIM ZACZĘŁAM UŻYWAĆ MYDŁA PALMOLIVE MIAŁAM OKROPNĄ CERĘ! — SUCHĄ, SZORSTKĄ I BEZBARWNĄ.

ALE JAK MOGŁO MYDŁO PALMOLIVE TAK BARDZO POPRAWIĆ TWĄ CERĘ?



PONIEWAŻ MYDŁO PALMOLIVE JEST WYRABIANE NA NIEZRÓWNANYM OLEJKU OLIWKOWYM, STWORZONYM PRZEZ NATURĘ DLA UTRZYMANIA MIĘKKOŚCI, GŁADKOŚCI I DELIKATNOŚCI SKÓRY. MYDŁO PALMOLIVE JEST WIĘC NIEZBĘDNE DLA SUCHEJ I ZWIĘDŁEJ CERY!



WIERZ MI, JESZCZE DZIŚ ROZPOCZYNAM UŻYWAĆ PALMOLIVE. CHCĘ BYĆ PEWNA, ŻE NIE BĘDĘ MIAŁA STARO WYGLĄDAJĄCEJ CERY

I JA RÓWNIEŻ — PALMOLIVE BĘDZIE MOIM MYDŁEM PIĘKNOŚCI



WYRABIANE NA OLEJKU OLIWKOWYM!

Oto dlaczego mydło Palmolive jest tak odpowiednie dla utrzymania delikatnej, gładkiej, młodzieńczej skóry

Dla zachowania Twej młodości i piękna. Natura sama stworzyła najdoskonalszy ze wszystkich kosmetyków... łagodny, udelikatniający olejek oliwkowy! Dlatego mydło Palmolive jest wyrabiane na olejku oliwkowym. Dlatego też żadne inne mydło nie może dorównać mydłu Palmolive przy pielęgnowaniu cery. Dzięki nam tylko znanej i jedynej mieszaninie olejków oliwkowego i palmowego, piana mydła Palmolive jest rzeczywiście inna... łagodna, przyjemna i zabezpieczająca nawet najwrażliwszą skórę.

A przytym ta jedyna w swoim rodzaju piana czyści tak gruntownie... usuwa całkowicie brud i kosmetyki, zatykające pory skóry i powodujące wągry i liszaje. Palmolive nadaje skórze gładkość, delikatność i świeżość — staje się ona ożywiona naturalnym pięknem.





JEDYNIE MYDŁO PALMOLIVE JEST DOSTATECZNIE ŁAGODNE I CZYSTE DLA PIĘCIORACZKÓW KANADYJSKICH



Na oszklonej werandzie Lipowieckiego dworu kończono podwieczorek. Pan Maciej odłożył serwetkę, sięgnął po papierosa i zwrócił się do syna, który siedział naprzeciw niego nad niedopitą filiżanką herbaty.

— Teraz zapewne odbędziesz swój spacer z panem Antonim?

Wychowawca Piotra zerwał się z krzesła i pytająco spojrzał na swego ucznia, który bynajmniej nie okazywał zbytniego pośpiechu.

Chłopiec spojrzał błagalnie na matkę, nieśmiało na ojca i zauważył obojętnym tonem, że po podwieczorku zerwał się wicher i prawdopodobnie lada chwila spadnie deszcz.

Pan Maciej spojrzał z pod siwych krzaczastych brwi bystro na ołowiane chmury, wiszące nad parkiem, później skierował gniewny wzrok na syna.

— Deszczu na pewno nie będzie. A gdyby nawet, to nie jesteś z cukru. Gdy byłem w twoim wieku, nie zwracałem uwagi na takie drobnostki, jak wiatr czy deszcz, a mimo to wyrosłem na zdrowego człowieka.

Chłopiec powstał zrezygnowany i podążył za panem Antonim. W drzwiach dogonił go głos milczącej do tej pory matki.

— Pedro, weź grubszy płaszcz i nie zapomnij szala...

Gdy kroki chłopca ucichły w hallu, przylegającym do werandy, pan Maciej zwrócił się do żony.

— Czy nie mogłabyć Dolores przestać nazywać go Pedrem... To nie ma najmniejszego sensu. Chłopiec urodzony i wychowany w Polsce, mający tu spędzić życie i noszący w dodatku całkiem zwyczajne imię Piotra, nie powinien być dla ciebie żadnym Pedrem.

— Wybacz mój drogi, to tylko zapomnienie. Na drugi raz zawołam na niego: Piotrze! Przez tyle lat był dla mnie moim małym Pedrem.

— Musisz nareszcie zrozumieć moja droga, że chłopiec wyrasta z lat dziecięcych i należy go traktować, jak dorosłego. Tem więcej, że musimy zwalczać tę zniewieściałość i wrodzoną nieśmiałość, jaka w nim bezsprzecznie tkwi. Przyszłe obowiązki, jakie go czekają, wymagają mocnego i odpornego charakteru. Należy go wyrabiać już teraz. Dla jego dobra nie mogę tolerować słabości. Czy sądzisz, że nie zauważyłem, jak niechętnie szedł na spacer i to tylko dlatego, że obawia się zimna? Stajenny Franciszek mówił mi wczoraj, że panicz nie spojrzy nawet na siwka, którego dostał na imieniny, a przecież wydawało mi się, że własny wierzchowiec jest najmilszym prezentem, jaki można ofiarować chłopcu w jego wieku.

Pan Maciej niecierpliwie gładził siwe wąsy, a na czole utworzyła mu się głęboka bruzda, świadcząca o niezadowoleniu.

Dolores nie odpowiedziała. Sięgnęła po robotę, leżącą obok na stoliku. Jej piękna, wąska twarz pochyliła się nad haftem, jakby pod ciężarem ogromnych czarnych warkoczy, oplatających głowę, niby korona.

Pan Maciej spoglądał na żonę i zastanawiał się, co ona myśli w tej chwili. Już dawno minęły czasy, gdy ich rozmowy o zasadniczych, zdaniem pana Macieja, rzeczech, kończyły się gwałtownym sprzeciwem Dolores, łzami w czarnych ognistych oczach, lub gniewnym przygryzieniem dumnych, drżących ust.

Dolores oddawna już nauczyła się milczeć i to było bodaj że gorsze aniżeli gniew. Co działo się w jej sercu? Jakie myśli rodziły się w pięknej, dumnej głowie? Pozornie podporządkowała się woli męża, nie sprzeciwiała się nigdy wygłaszanym przez niego zasadom i pan Maciej mógł być zadowolonym, że urobił sobie żonę tak, jak sobie tego życzył. Tymczasem teraz dziwny spokój żony nie cieszył go wcale. Przeciwnie. Podejrzewał w nim milczący sprzeciw i żal. Nawet różnica zdań na temat wychowania syna, będąca najdłużej powodem gorących dyskusji rodziców, ostatnimi czasy nie wywoływała na usta Dolores żadnego sprzeciwu.

A przecież nie zawsze musiało jej być lekko. Pan Maciej zdawał sobie sprawę, że ta młoda dziewczyna wywieziona przez niego z ojczystej Hiszpanji do mroźnej Polski, nie zdołała nigdy zapomnieć, tonącej w słońcu i blaskach Sewilli. Czy człowiek może zapomnieć swą ojczyznę? Pan Maciej ostatnimi czasy zadawał sobie często podobne pytanie i coraz bardziej powątpiewał w szczęście żony. Jeśli nie zdołała tego dokonać dawniej jego miłość, cóż może ukoić jej tęsknotę dzisiaj? Miłość? Trudno o tem mówić po kilkunastu latach małżeństwa. — Owszem, pan Maciej wierzył, że łączy ich dotychczas głębokie uczucie... jednakże było ono dziś bezsprzecznie znacznie słabszym argumentem, aniżeli na początku. Prawda, istniał jeszcze jeden, najsilniejszy węzeł, a tym był mały Piotr, nazywany przez matkę pieszczotliwie w jej ojczystym języku Pedro. I w tym jednak wypadku ojciec musiał przeprowadzić swą wolę, chociażby kosztem bólu, jaki zadawał macierzyńskiemu sercu Dolores. Czyż nie był to jednak zwykły los każdej matki? Musi przecież w końcu zrozumieć, że chłopiec przestał być dzieckiem i że największa, najzachłanniejsza miłość matki nie może mu wystarczyć. Pan Maciej nie może pozwolić, aby Piotr, jedyny spadkobierca nazwiska i majątku, wyrastał pod wpływem kobiety, jakkolwiek kochającej, to jednak niewątpliwie przewrażliwionej i przeczulonej. Syn musi wyrość na dzielnego mężczyznę, który zdolny będzie w przyszłości dźwigać ciężkie i odpowiedzialne zadanie, jakie przypadło mu po sarmackich przodkach.

Tymczasem Piotr, nieświadomy tego, że nad jego głową toczy się zawzięta choć milcząca walka rodzicielska o wpływy, mające zaważyć nad jego przyszłym losem, ku zmartwieniu ojca nie przypominał wiele swych słowiańskich dziadów i pradziadów. Na pierwszy rzut oka, podobny był tylko do matki. Czarne, wijące się włosy, ciemne jak węgiel oczy, twarz śniada bez rumieńców, niewysoki wzrost i zbyt wielka delikatność rąk i nóg przypominały raczej małego Hiszpana, aniżeli dziecko, urodzone na prawym brzegu Wisły. Może raczej w naturze i usposobieniu posiadał pewne słowiańskie rysy. Był wrażliwy, zdolny, niewytrwały, łatwo zapalał się do każdego projektu i również szybko gasł. Był dumny, uczuciowy, skryty i kochał matkę miłością gwałtowną, zazdrosną. Do ojca żywił szacunek i przywiązanie nie pozbawione lęku, nie podobne jednak do namiętnego uczucia, jakim darzył Dolores. Pan Maciej nazywał to egzaltacją i usiłował zwalczać ją w synu, wprowadzając w jego życie nowe zainteresowania i odpowiednie jego wiekowi rozrywki. Z początku chłopiec okazał się wyjątkowo uparty tak, jak to zresztą było do przewidzenia. Pan Maciej i wychowawcy Piotra zdawali się tym nie zrażać i umiejętnem postępowaniem zwalczali powoli, lecz skutecznie uprzedzenia dziecka. Zdarzały się jeszcze chwile, że Piotr buntował się, zamykał w sobie i szukał schronienia u matki, przed którą jedynie otwierał swe dziecinne serce.

Następowały sceny pełne melodramatycznego nastroju. Piotr rzucał się w objęcia Dolores, która tuliła go do siebie rozdzierającym gestem, jak gdyby broniła dziecka przed jakiemś groźnem niebezpieczeństwem. Za parę dni te urojone kłopoty malały i cierpliwy pan Maciej zaczynał swą mrówczą pracę, która robiąc napozór minimalne postępy, przecież przeobrażała powoli małego Hiszpana w normalne polskie dziecko.

W parku, aleją starych wiązów, szedł Piotr ze swym nauczycielem. Drzewa stały już nagie, gubiąc na wietrze ostatnie liście. Sklepienie niebios było tak niskie, że zdawało się opierać na wierzchołkach wyższych konarów. Pod nogami idących szeleściły rdzawe, suche liście, a w powietrzu rozlegał się krzyk spłoszonych wron.

— Dlaczego te wstrętne ptaki robią tyle hałasu... obrzydliwe stworzenia, nie lubię ich.

— Tak, ich głos nie jest przyjemny. Jutro rano weźmiemy na spacer flobert i postarasz się trafić którą z nich. Zobaczysz, że nie wrócą prędko.

— Nie zrobię tego. Pan wie, że nie lubię strzelać.

— Tak? Zdawało mi się, że powiedziałeś przed chwilą, że nie lubisz również wron?

— Tak, nie do tego jednak stopnia, aby je zabijać.

— Wobec tego, co będziesz robił na polowaniu, skoro ojciec za parę lat zabierze cię ze sobą?

— Wątpię, czy pójdę kiedy na polowanie. Nie potrafiłbym nigdy mordować niewinnych zwierząt.

— Ależ polowanie to najszlachetniejsza rozrywka, jaką uprawia ludzkość od zamierzchłych czasów.

— W moim pojęciu to nie jest rozrywka.

— A przecież twój ojciec poluje często i chętnie.

Piotr nie znalazł odpowiedzi. Szli dłuższy czas w milczeniu. Gdy doszli do końca alei i minęli domek odźwiernego na skraju parku, nauczyciel otworzył małą furtkę w bramie.

— Pan chce wyjść na pole? — przestraszył się chłopiec. — Nie proszę, zostańmy lepiej w parku. Pola są teraz takie smutne i szare.

Nauczyciel zamknął bramę i przekręcił zardzewiały klucz, który tkwił w zamku. — Poszli na prawo wąską aleją, biegnącą wzdłuż parkowego muru. Chłopiec szedł ciągle powoli i niechętnie. Wiedział, że oznaczoną ilość czasu musi spędzić na wolnem powietrzu i obojętnem było, czy pójdzie wolniej czy szybciej. Ostatecznie nie było żadnego celu, do którego dążyli. Wiatr gwizdał nieprzyjemnie, jakaś ułamana gałąź wydawała niemiły skrzyp i Piotr starał się myśleć o czemś innem, aby zapomnieć o tych okropnych, smutnych drzewach i obmokłych czarnych wronach, krążących nad jego głową. Nagle ożywił się niespodziewanie i podniósł ku swemu wychowawcy twarz, w której jaśniały czarne, roziskrzone oczy.

— Czy wie pan, że w Hiszpanji nie ma prawie zimy? Naturalnie w naszem pojęciu. Mama opowiadała, że jest tak ciepło, że nigdy nie potrzeba nosić futra. U dziadka w domu przez cały rok kwitną kwiaty, a największem zmartwieniem jest ucieczka przed słońcem. Czy słyszy pan? Morze jest takie ciepłe, jak u nas woda w łazience. Mama opowiadała, że będąc dzieckiem nazbierała sama całą siatkę koników morskich. Chciałbym raz zobaczyć żywego morskiego konika... albo nie, wolałby widzieć meduzę. Mama opowiadała, że wyglądają, jak maleńkie parasole, rozpięte na tle zielonych fal. Dzieci wychylają się łódek i chwytają je do rąk. Są jak galareta, różowe lub fjołkowe, ale na słońcu schną i nie zostaje po nich nic prócz wilgotnej plamy.

Pan Antoni nie jest zachwycony uczniem, który marzy o meduzach. Stara się więc

uwagę dziecka skierować na piękno rodzinne.

— My za to posiadamy inne rzeczy, o których napróżną marzą hiszpańskie dzieci... Napewno pragnęłyby je tak samo zobaczyć, jakty morskiego konika.

— Co pan ma na myśli...?

— Mnóstwo rzeczy. Czy sądzisz n. p., że taki zwyczajny, polski śnieg, nie byłby dla nich największą atrakcją? Pomyśl, saneczki, ślizgawka, narty, cóżby to była za przyjemność dla dzieci, które uciekają przed słońcem.

— Ach nie, zima nie jest przyjemną.

— Tak samo twierdzą o upale twoi rówieśnicy, mieszkający w Sewilli.

— Nie, tego nie można nawet porównać. Hiszpanja jest krajem najpiękniejszym na świecie.

— To jest tylko twoje zdanie, Piotrze. — Zresztą nie byłeś tam nigdy i nie możesz tego twierdzić tak stanowczo.

— Mogę, gdyż mówiła mi to mama. A mama mówi zawsze prawdę.

Tym razem nauczyciel nie znalazł żadnej odpowiedzi. Nie mógł w oczach dziecka obniżać autorytetu matki. Ubolewał tylko, że pani Dolores, postępuje wbrew wszelkim zasadom pedagogicznym i nieświadomie, a może nawet bezmyślnie działając pod impulsem własnej nostalgji, niweczy w sercu swego syna, uczucia dla własnej ojczyzny.

Bo Piotr uważał matkę za autorytet. Nigdy jeszcze nie zawiódł się na niej. Ona jedna była tym człowiekiem, który umiał zrozumieć chaotyczne, nieskrystalizowane myśli dorastającego chłopca. Ona nie tylko nie usiłowała nagiąć go do żadnych zasad, ale nawet nie starała się niespokojnej natury naginać w twarde ramy surowego wychowania. Matka była istotą doskonałą, wolną od wszelkich ludzkich przywar i słabości. Nic dziwnego zresztą. Pochodziła przecież z kraju, który w opowiadaniach stęsknionej kobiety dorastał do rozmiarów raju. Fantazja, odziedziczona po matce, kazała później małemu Piotrusiowi, w szumie polskich sosen dopatrywać się szmeru południowych pinij i marzyć o srebrzystych liściach oliwnych drzew i cienistych platanach, rosnących na dziedzińcu jej ojczystego domu.

Jaką pociechą było dla Dolores widzieć zachwyt w oczach zasłuchanego dziecka! — W oczach, które były oczami jej braci i ojca.

— Pedro, mój maleńki Pedro — mówiła Dolores, całując ciemne włoski syna. — Gdy dorośniesz, pojedziemy razem do mojej ojczyzny. Będziemy biegać na wybrzeżu morskiem i zbierać wielkie muszle, w których zamknięty jest szum morza.

— Pan Maciej ma po stokroć rację — myślał nauczyciel o ojcu swego ucznia. — Pani Dolores jest zupełnie nieodpowiedzialną istotą.

Gdy wskazówka zegara zbliżała się do godziny, oznaczającej koniec spaceru, Piotr bez pytania skierował się w najbliższą aleję, prowadzącą do domu. Gdy podeszli już zupełnie blisko, z przed bramy w stronę wozowni odjeżdał mały sportowy wóz. Białe światła reflektorów oświecały białą ścianę i chłopca, otwierającego w pośpiechu wielkie drzwi garażu. Piotr poznał natychmiast wóz rotmistrza Seweryna Rawicza. Wprawdzie nie interesował się zbytnio markami samochodów, tak, jak to czynili jego rówieśnicy, jednakże rotmistrz przyjeżdżał tak często, że trudno byłoby nie poznać jego wozu.

Wszyscy w domu przepadali za wysokim, wesołym oficerem, którzy swą obecnością potrafił przeobrażać senną atmosferę dworu w nastrój pełen wesołości i humoru. Nawet pan Maciej, wybredny w doborze towarzystwa, nie mógł odmówić rotmistrzowi uznania dla jego talentów towarzyskich, a pani Dolores, której wesołość gościa wydawała się z początku zbyt głośną, ostatnio nieco łaskawiej spoglądała na towarzysza długich jesiennych wieczorów. Rotmistrz posiadał wszelkie talenty, potrzebne do rozpraszania wiejskiej nudy. Grał dobrze w karty, umiał niesłychanie dowcipnie opowiadać najzwyczajniesze historje. Był doskonałym myśliwym i miał opinję najlepszego tancerza w okolicy. Czyż można wymagać więcej od jednego człowieka, w dodatku młodego i przystojnego? Te wszystkie zalety jakkolwiek bardzo cenne, nie byłyby jeszcze dostatecznym powodem, aby sympatja smutnej pani Dolores zwróciła się ku wesołemu rotmistrzowi.

Zdarzyło się jednak, że pewnego wieczoru pan Seweryn nieproszony podszedł do stojącego w kącie salonu fortepianu i zaczął grać... Z początku uderzał w klawisze niedbale, jakby od niechcenia, grał urywki swych ulubionych utworów, przerywał, zmieniał takt i melodję, aby za chwilę uderzyć kilka akordów pieśni, aż wreszcie wśród cichego akompanjamentu, rozległ się głos niespodziewanie piękny i głęboki, śpiewający starą hiszpańską canzonę. Dłonie Dolores zacisnęły się kurczowo na poręczach fotela, biała twarz zwróciła się w stronę śpiewającego z wyrazem bolesnego zdumienia, a kiedy przebrzmiały ostatnie tony pieśni i nieoczekiwanie zamieniły się w posuwistego poloneza na policzki jej spłynęły łzy, których nie mogła stłumić. Rotmistrz zdawał się nie dostrzegać wrażenia, jakie wywarła na Dolores jego pieśń. Zwrócił się do pana Macieja, któremu tłumaczył dzieje piosenki, znanej jego rodzinie od kilku pokoleń. Przodek Rawicza, walczący pod Napoleonem w Hiszpanji, przywiózł ją stamtąd. Od tej pory była przechowywana jako pamiątka i Seweryn nauczył się ją śpiewać od swej matki, która bardzo ją lubiła. Pan Maciej niewielki znawca muzyki, zato zapalony historyk, nawiązał rozmowę do bohaterskich wspomnień Samosierry. Mógł się naprawdę pochwalić swą wielką erudycją i znajomością strategji, w czem dorównał mu rotmistrz Seweryn chociażby z racji swego zawodu. Od tej pory pani Dolores oczekiwała z radością odwiedzin gościa, a nawet nauczyła się później starej hiszpańskiej piosenki. Wzamian za nią śpiewała rotmistrzowi serenady, przywiezione z ojczyzny i uczyła go wśród ogólnego śmiechu wypowiadać poprawnie hiszpańskie słowa. Rotmistrz Seweryn okazał się niezłym lingwistą. Dolores stwierdziła, że ma dobry akcent. Od tej pory polubiła go naprawdę, tak zresztą jak wszyscy.

Ciąg dalszy na str. 12-ej.

Jak Pan(i) trzyma filiżankę?

Powyżej: Energiczna kobieta trzyma filiżankę podobnie jak mężczyzna, szczerze i bez afektacji.



WSZYSTKIE ZDJĘCIA KEYSTONE — PARYŻ.

Poniżej od lewej: Oto częsty, brzydki nawyk, utrudniający zresztą samą funkcję picia. — A tak trzyma filiżankę myśliciel, który snując swoje refleksje nie zwraca uwagi na to, że palenie papierosa podczas jedzenia jest niewłaściwe i niezdrowe.







Powyżej: Artysta, trochę „bohême" nie troszczy się o estetykę trzymania filiżanki, obejmując ją całą ręką.



Na lewo: Osoba nieco przesadna, zwracająca uwagę na rzeczy jedynie zewnętrzne posługuje się filiżanką w sposób pospolicie elegancki.

Nie potrzeba być rodzimym Sherlockiem Holmesem, aby z małych nieraz rzeczy wysnuć wnioski o charakterze człowieka. — Przysłowie „pokaż mi jak mieszkasz, a powiem ci kim jesteś", możnaby parafrazować na wiele innych motywów i w większości wypadków dadzą się powziąć pewne logiczne wnioski. Jeżeli starano się tłumaczyć zwyczaj Napoleona I trzymania rąk założonych w tył, lub jego upodobania do kładzenia pasjansów albo wiele innych drobnych przyzwyczajeń czy „hobbies" wielkich ludzi, to również w odniesieniu do zwykłego śmiertelnika można wysnuć z jego ruchów, odruchów, przyzwyczajeń itd pewien pogląd na jego charakter.

Nikt z nas prawie nie wie, jak wygląda jego chód, mało kto z nas wie, jak podaje rękę, lub jak trzyma łyżkę, widelec lub nóż, a najmniej zna swą sylwetkę taką jaką ona wydaje się jego znajomym. Nic w tem dziwnego, przecież nikt z nas nie studjuje się w lustrze, nie bada swej postaci pod kątem widzenia estetyki czy psychologji.

Mało jest takich ludzi jak Wilhelm II lub Neron, którzy poświęcali dużo uwagi swej postaci i dlatego też zyskali sobie u potomności nazwę „pozerów". Po większej części wszystkie te czynności, które stanowią repertuar dnia bieżącego, spełniamy mimowoli, bezwiednie, i nie poświęcamy im żadnej uwagi.

A jednak warto, choćby dla próby — przyjrzeć się, jeżeli już nie sobie samemu, co jest rzeczą dosyć trudną, to w każdym razie... bliźnim. Będzie nas to bawiło i będziemy mogli ich dowoli krytykować. Weźmy naprzykład pierwszy lepszy ruch ręki naszych znajomych, np .wtedy kiedy ujmują filiżankę i kierują ją do ust.

Po bliższem przyjrzeniu się tej skromnej i zwykłej funkcji będziemy wkrótce mogli rozróżnić kilka typów: oto enrgiczna, dzielna kobieta, która musi myśleć o całym domie i sama pracuje zawodowo, ujmuje filiżankę w dwa palce, ale przyciska ją do ręki,

trzyma filiżankę niejako w garści! Jest to osoba znająca życie, jego dobre i złe strony, i każdą sprawę traktuje poważnie, rzeczowo. A oto druga: trzyma filiżankę tak, jakby się bała, że wyleje z niej jej zawartość, palce kokieteryjnie rozstawia, zwłaszcza mały paluszek i zdaje się jej, że dokonywuje małego arcydzieła elegancji. Jest to osoba powierzchowna, uważająca tylko na pozory i lubiąca tanie efekty.

Jest jeszcze inny typ człowieka, obejmującego szklankę czy filiżankę całą ręką, jakby się bał, że mu ona z niej wyleci. To również człowiek pracy, zazwyczaj rzemieślnik, lub ktoś, kto wystawiony nieraz na zmienne działanie pogody, na deszcz, zimno i t. d. instynktownie niejako stara się całe ciepło filiżanki wchłonąć w siebie, aby nie uronić z niego ani jednej kalorji.

Oto widzimy inny typ tej codziennej funkcji: w jednej ręce papieros, w drugiej uszko filiżanki. Jest to człowiek, który lubi w każdej sytuacji życiowej iść za swojemi myślami, i nie lubi przerywać ich toku. Nie zwraca na to uwagi, że palenie podczas posiłku jest niezdrowe i przeczy ustalonym konwenansom towarzyskim. Papieros dając mu widocznie natchnienie, a co o tem powiedzą ludzie, jest mu zupełnie obojętne. Tem więcej, że uważa się za wyższego od przeciętnego człowieka.

I jeszcze jeden charakterystyczny ruch: tak, jak owa pretensjonalna kobieta, tak też filiżankę trzyma mężczyzna. Jest to jednak przestępstwo już „drugiego stopnia", gdyż to co ujdzie ostatecznie kobiecie, z racji jej przyrodzonej „słabości" płci, tego nie można darować mężczyźnie. Jest on wogóle przesadny i nosi napewno krzyczące krawaty, chustka mu „kipi" w kieszonce, nosi zbyt prononsowane w kolorze ubrania, zawsze idzie za ostatnim „krzykiem" mody, jest wogóle męczący w swej tuzinkowej i taniej elegancji.

I tak, przyjrzawszy się kilku ruchom rąk różnych ludzi, ustaliliśmy zasadnicze typy ludzkie w tak drobnej czynności, jak... trzymanie filiżanki. **JGM.**



Człowiek lubujący się w przesadzie: wskazuje na to jego ręka, niepotrzebnie rozwinięta chustka w kieszonce i jaskrawy krawat.



Człowiek, wykonujący jakieś rzemiosło, otacza podaną mu szklankę czy filiżankę całą ręką, jakby ujmował jakieś narzędzie.

Ciąg dalszy ze strony 10-tej.

Wszyscy... prócz Piotra. Jemu jednemu nie imponował wojskowy mundur, ani błyszcząca szabla, a już najmniej piosenki, które śpiewał dla mamy.

Piotr kochał muzykę. Była jednym z tych czynników, które działały na jego wrażliwą duszę wprost niebezpiecznie. Była to dziedzina, do której nikt nie miał wstępu, prócz niego i matki. Szare jesienne wieczory, to były do niedawna godziny lekcji fortepianu, której udzielała synowi sama Dolores. — Lekcje, które zamieniały się w jej grę. Melodje grane przez mamę mówiły mu daleko więcej, aniżeli opowiadania o ciepłych morzach, pełnych pereł i stworzeń, podobnych mglistym wstęgom, zboczach gór, pokrytych pomarańczowym gajem i białych klasztorach, w których czarni, ascetyczni mnisi dzwonią w srebrne dzwony.

— Ach, mama grała tylko dla niego... — mówiła przecież często. — Pedro synku mój, ty jeden mnie rozumiesz.

I jakim prawem ten hałaśliwy rotmistrz zajął jego miejsce! Mama grała teraz dla niego, jak niegdyś dla Pedra. Śpiewała mu pieśni o swej ojczyźnie, jak gdyby nie czując, że popełnia coś bardzo brzydkiego, otwierając swe serce przed obcym człowiekiem, który w dodatku był jej synowi tak nienawistny. Och, Pedro miał tysiące powodów, dla których nienawidził rotmistrza Seweryna.

Gdy wszedł dziś po spacerze do salonu, zobaczył natychmiast ich oboje przy fortepianie, na którym paliła się wielka lampa z czerwonym abażurem. Rotmistrz tłumaczył coś mamie z rozłożonych przed nim nut. Z początku nie zauważyli go wcale. Dopiero mama jakimś roztargnionym, nieswoim głosem zwróciła się do syna z zapytaniem, jak udał się spacer? Rotmistrz odwrócił się do Pedra tak, że zasłonił sobą lampę i twarz jego w cieniu, zalegającym pokój, stała się niewidoczną.

— Jak się masz Pedro — zawołał wesoło. Był to jedyny człowiek, który nazywał go imieniem, jakiego używała tylko mama. Już to samo mogło usposobić chłopca niechętnie.

— No co, czy masz zamiar jeszcze ciągle zostać grajkiem ulicznym?

Jak ten człowiek umiał wszystko zohydzić! Jeszcze do niedawna Piotr marzył o tem, aby zostać grajkiem, zwyczajnym, wędrownym muzykiem, który żyje swobodny jak ptak, dla którego nie istnieje nic, prócz muzyki i którego ojczyzną jest cały świat. Ostatecznie nie jest to niczem gorszem od marzeń o konduktorze lub lotniku zwyczajem innych dzieci. To niewinne pragnienie, będące do tej pory tajemnicą Piotra i mamy, zostało zdradzone przypadkowo przed rotmistrzem. Piotr nie mógł do tej pory zapomnieć wybuchu śmiechu, jaki towarzyszył jego słowom. Rotmistrz śmiał się długo i serdecznie. To jednak, jakkolwiek upokarzające, nie byłoby tak okropnem, jak fakt, że równocześnie zaśmiała się mama. Jego własna mama, przyjmująca dotąd zwierzenia syna jak gdyby był dorosłym człowiekiem, śmiała się razem z tym strasznym człowiekiem z dziecinnych marzeń swego Pedra. Chłopiec nigdy nie zapomni jej tego. Przebaczył już dawno, ale nie zapomni nigdy.

I dziś Piotr czuje, że jest tu niepotrzebny. Mama chętnie zaśpiewałaby rotmistrzowi jedną z piosenek i nie myśli wcale o synku, który nie raczy odpowiadać na pytania, zadane mu przez gościa i stara się przybrać jak najbardziej odpychający wyraz twarzy. Niestety, nikt nie zwraca na to uwagi, a mama każe iść Pedrowi do jego pokoju i poprosić o herbatę, gdyż napewno przemarzł na spacerze.

— Czy nie mogłabyś pójść ze mną mamusiu?

Dolores unosi lekko brwi i patrzy na chłopca ze zdziwieniem.

— Widzisz przecież, że jestem zajęta naszym gościem. Ojca wezwano nagle do kancelarji i nie wiadomo kiedy przyjdzie. A nie chciałbyś chyba, aby pan Seweryn nazwał nasz dom niegościnnym.

Piotr w milczeniu odchodzi. W jego małem serduszku wzbiera coraz większa fala niechęci dla wesołego rotmistrza. — „Ach, mamo, mamo, dlaczego jesteś taka okrutna" powtarza, idąc długim korytarzem. Sam nie umie powiedzieć, dlaczego tak bardzo nienawidzi tego człowieka. Nie umie rozeznać się w przyczynach swej udręki i nie rozumie, dlaczego myśli o tych dwojgu sprawiają taki ból. Pedro nie może tego dłużej znieść. Nie! Nie pójdzie do swego pokoju. Na złość mamie i panu Sewerynowi, wróci do salonu i będzie słuchał, jak dawniej gry mamy. — Przecież obiecała grać tylko dla niego. Piotr wraca i otwiera cicho drzwi. W salonie panuje półmrok, tylko nad fortepianem lampa rzuca łagodne światło na ciemną głowę Dolores, opartą o ramię rotmistrza, który obejmuje ją mocnym uściskiem. Zeszyt nutowy leży u ich stóp a fortepian wydaje się szczerzyć do Pedra zęby klawjatury w potwornym, drwiącym uśmiechu. Przerażone dziecko cofa się. Nie wie, co myśleć, co robić. Czuje w głowie chaos i zamęt. Jest jeszcze zbyt mały, aby zdawać sobie sprawę z czegokolwiek i tylko instynktownie czuje, że dzieje się coś niewłaściwego. W hallu spotyka ojca. Pan Maciej jest przerażony bladością syna i zaczyna robić sobie wyrzuty, że zmusił go do odbycia spaceru w taki wilgotny jesienny dzień. Dziecko jest jednak wątłe i nie należy go przesadnie hartować. Pozwala mu więc łaskawie opuścić godzinę francuskiej lektury, jaką zwykle w tym czasie odbywa ze swym wychowawcą i wrócić do salonu. Dolores zapewnie gra z rotmistrzem, a muzyka sprawi dziecku przyjemność. W salonie zastają przy stoliku mamę, przerzucającą gorączkowo stosy nut i rotmistrza, strzepującego z rękawa jakiś niewidoczny pyłek.

— Nie śpiewasz dziś Dolores? — zapytuje pan Maciej, — a ja przyprowadziłem tu Piotra, obiecując mu koncert?

— Ależ tak — nie mogę tylko znaleźć nut. Nie mam pojęcia, gdzie mogły się zapodzieć. Panie Sewerynie, czy nie leżą na fortepianie? Szukam ich już od kwadransa.

Dokończenie na str. 20-ej.

W POŁUDNIOWEM SŁOŃCU

Ogród w Gardone nad jeziorem Garda. Fot. v. Perckhammer



KOBIETA I SAMOCHÓD

Z WARSZAWSKIEGO KONKURSU SAMOCHODOWEGO

Automobilklub Polski objawia zainteresowanie dla imprez, nie dotyczących tylko terenu sportowego i turystyki. Mowa o jego propagandzie samochodu. Ostatnio zorganizował w pięknym warszawskim parku im. Paderewskiego konkurs na najpiękniejszy samochód, jaki siłą rzeczy przerodził się w konkurs elegancji „zmotoryzowanych Warszawianek".

Moda konkursów elegancji samochodu przyszła do nas z Francji. Na Riwierze, dla urozmaicenia pobytu multimiljonerów, organizuje się pokazy pięknych maszyn, które prowadzone rączkami najpiękniejszych kobiet świata, wsławiają nazwiska czołowych producentów nadwozi samochodowych oraz przypominają publiczności o... zawartości portfeli miljonerów amerykańskich, maharadżów, arystokracji. Ale każdy pokazywany tam samochód, to doprawdy okaz wybitny, reprezentujący maksimum wykwintu, finezji linji i doboru barw nadwozia. Nierzadko spotykano samochody wyposażone w najwymyślniejsze szykany, campingowe kuchenki elektryczne, kompletne „laboratorja" maquillage'u, wreszcie radja i... filmowe aparaty o wąskiej taśmie. Odznaczenie na jakimś konkursie w Juan les Pins, Cannes, Monte Carlo — oznaczało nieraz fortunę dla „karosiarza", np. dr. Fariny — Włocha, Van den Plas'a — Belga, Erdmann & Rossi — Niemców. Ostatnio szczególnie słynie dr. Farina. Z zawodu konstruktor, jeździ z pasją na wyścigowych samochodach, reprezentując barwy swego kraju w najcięższych wyścigach międzynarodowych na maszynie Alfa-Romeo. Ale na codzień jest producentem nadwozi. Zdobył kilka nagród dzięki uprzejmości... pięknych paryskich modelek, następnie kilka przez niego skarosowanych samochodów zakupili możni dla wybranek swych serc. Sława Fariny jest już ugruntowana, słynne nadwozia buduje już... seryjnie, dla Lancii.

Właśnie jeden z takich pięknych jego samochodów pokazał nam Dymsza, prowadząc swą Lancię wraz z piękną panią, dwiema córeczkami i... śmiesznym pieskiem. Dostał olbrzymie brawa, a jego wóz — wyróżnienie.

Nasz krajowy konkurs piękności samochodu nie posiada tego uroku, co tego rodzaju konkursy zagraniczne. U nas przecież, dzięki tak „celowej" polityce motoryzacyjnej, forsującej małe i nie zawsze dla nas przydatne samochody — maszyny większe, z „prawdziwego zdarzenia" kosztują poprostu majątek. A cóż dopiero miałby kosztować nie seryjny, ale na zamówienie karosowany samochód! Na konkursie niedzielnym



Adolf Dymsza z małżonką pokazali wyjątkowo piękny typ: Lancię o nadwoziu Farina.

pokazano wspaniałego, seryjnego amerykańskiego Cadillac'a dyr. Papadakisa, o mocy 140 koni w silniku i cenie około... 55.000 złotych. Wobec tego samochodu „seryjny" Rolls-Royce musiałby kosztować z górą 100.000 złotych!

Obok wspaniałego Cadillac'a przycupnął mały, skromny, ale silny, rzetelny „Opel Kapitan". Jest to maszyna średniej kategorji, budowana w Niemczech wiernie według wzorów amerykańskich. Nie trzeba się temu dziwić: wytwórnia Opel pozostaje pod kontrolą Amerykanów, ściślej — koncernu „General Motors".

Jeśli mówimy o Niemcach, to trzeba podkreślić, że pokazali kilka pięknych „Steyerów", chmarę „Dekawek 1939" oraz kilka poważnych, powolnych, ale solidnych „Wandererów". Niemcy ze znanych im powodów nie pokazali ani jednego ze swych reprezentacyjnych modeli, np. „Mercedesa" kompresorowego o mocy 170 koni w silniku.

Tymczasem Francuzi reprezentowani byli godnie. Słynny raidowiec, por. Kołaczkowski, demonstrował wraz z p. Krystyną Zabłocką dwa wspaniałe „Citroeny" sportowe, 2-osobowe, obok nich pokazano serję „Citroenów" małych i dużych, łącznie z wielkim, dla celów familijnych. Wszystkie posiadają napęd z przodu i silniki o sportowym charakterze. Z innych „Francuzów" wymienić należy, pokazane masowo, „Renaulty" oraz „Hotchkiss", produkt słynnej wytwórni samochodów i broni. „Hotchkiss" budził wielką sensację, gdyż jest to typ wsławiony bezprzykładnemi zwycięstwami w Rallye Monte Carlo.

Anglicy pokazali się, jak zwykle... wyniośle i niezbyt przekonywująco. Ich maszyny, to „SS-Jaguar", „Rover" i „Vauxhall", reprezentujące przeciętną klasę konserwatywnych typów brytyjskich. Nazwa „SS" powstała z połączenia (S)tandar — wytwórnia podwozi i (S)wallow — wytwórnia nadwozi. I tu mamy doskonały obrazek, co znaczy zbudować modną na zachodzie karoserję. Zakłady „Swallow" produkowały dawniej... wózki motocyklowe. Przed kilku jednak laty na londyńskiej wystawie pokazały nadwozie samochodowe, charakterystyczne, z nieprzeciętnie nisko osadzonym dachem. Nadwozie to stało się modne. Dziś każdy „szanujący" się Anglik jeździ wozem sportowym o nadwoziu nielogicznie niskiem.

Czesi ze swej strony pokazali szereg niezbyt przekonywujących maszyn „Aero" oraz kilka rzetelnych, spokojnie i pięknie skarosowanych „Skoda Kabrjoletów", które są już u nas dość popularne. Jeśli tu dodać, że w konkursie pokazano go w pięknej oprawie, to nie trzeba się dziwić, że podobał się ogólnie.

Wielkiej Nagrody nie przyznano żadnej maszynie, ale przyznano zato 7 odznaczeń siedmiu maszynom, prowadzonym przez najpiękniejsze panie. Potwierdziła się więc nasza opinja, że konkurs był najpierw konkursem... pięknej automobilistki! Wyróżniono wozy... pań: Regulskiej, Krystyny Zabłockiej, pp. Popławskich, Dymszy, dyr. Papadakisa, „SS" p. Raplewskiego, „Rover" p. Zielińskiej.

Konkurs zakończono ku zadowoleniu wszystkich... przedstawicieli. Kto wie, czy nie dobrze się stało, że nie przyznano Wielkiej Nagrody". Dałoby to tylko powód do zazdrości i nieportzebnych zgrzytów. Ale czy co roku będzie się unikać tak wspaniałej i emocjonującej okazji dla ploteczek zazdrosnych pań o nagrodzony wyjątkowo samochód? Rok przyszły wskaże nam zapewne taki wyjątkowy samochód, co jednak nie zepsuje chyba zbyt wiele krwi zawiedzionym przedstawicielom i... paniom, kierującym ich samochodami. Axy.

Poniżej: Najpiękniejszy wóz, zgłoszony do konkursu: Cadillac, dyr. Papadakisa 140 KM.



Poniżej : 100-konny Buick, nadwozie Convertible Coupe, typ 5-osobowy o charakterze sportowym.



WESOŁY PRZEWODNIK PO ŚWIECIE

BOGDAN BRZEZIŃSKI

ILUSTROWAŁ CHARLIE



Gdy zbliżamy się do portu nowojorskiego, zdaleka wita nas olbrzymi Posąg Wolności. Jest on symbolem, że w Stanach Zjednoczonych wszystko wolno. Słusznie też mówi przysłowie o Wuju Samie:

— Wolnoć Samku — w swym wigwamku!

Ponieważ ludzie lubią nadużywać wolności, miast ją szanować i korzystać umiarkowanie z jej dobrodziejstw, USA. stało się krajem zdumiewających niespodzianek. Każdy Amerykanin jest ich skarbnicą. Po najspokojniejszym i najbardziej szarym Yankesie można się spodziewać, że wynajdzie fenomenalne radjo do transmitowania smaków i zapachów, albo że zostanie światowej sławy bandytą.



Kidnaper zdobywa się na czyny porywające...

Poniżej podajemy krótki przegląd najbardziej charakterystycznych typów, zamieszkujących ten piękny kraj.

SELF-MADE-MAN — dosłownie: „człowiek, który sam siebie zrobił". Nie może on jednak służyć, jako przykład dzieworództwa. Jest on raczej wzorem, do czego można dojść, gdy się ma silną wolę i spryt. Self-made-man jest zazwyczaj synem ubogich emigrantów z Europy. Rodzice jego umierają wcześnie, ewentualnie matka umiera, a tatuś się rozpija i schodzi na złe drogi. Temi złemi drogami ulatnia się z Nowego Jorku, zostawiając na bruku pięcioletniego synka. Ale pięcioletni synek ma głowę na pięcioletnim karku. Zaczyna natychmiast „sam siebie robić". Najpierw pokazuje sztuki na podwórzach, potem zaczyna sprzedawać gazety, pamiętając, że każdy wielki Amerykanin zamłodu sprzedawał dzienniki. W kilka lat później jest reporterem wielkiego dziennika, potem naczelnym redaktorem, a wreszcie zakłada wielki koncern prasowy, albo też przerzuca się do przemysłu i zostaje chlebodawcą stu tysięcy robotników. Nosi zwykle miękki kapelusz, pali cygaro, mówi „siuuur" i „o kej". Z zasady nie zdejmuje przy pracy kapelusza z głowy, jest rubaszny, ale mimo to zostaje na starość senatorem.



Cowboy, który „byczo" jeździ...

GANGSTER — jest to człowiek, który także chce dojść do majątku, jak self-mademan, ale nie ma cierpliwości, więc znacznie skraca sobie drogę do fortuny. Gangster jest zwykle doskonale uzbrojony. Nosi przy sobie karabin maszynowy szybkostrzelny, oraz kilkanaście zwykłych browningów. Odbywszy przynajmniej roczną praktykę, otrzymuje tytuł „wroga społeczeństwa", oraz numer porządkowy, żeby było wiadomo, jaki to dobry numer! Gangster także mówi „siuuuur" i „o kej", tylko nieco zachrypniętym głosem. Policja amerykańska jest uprzedzająco grzeczna dla gangsterów i gdy spotka którego z nich, prosi siadać — i podsuwa elektryczny fotel. Na starość senatorem nie zostaje.

COWBOY — jest to pastuszek „en gros". Nosi kapelusz z szerokiem rondem oraz spodnie z frendzelkami. Mówi zwykle „siuuur" i „o kej". Ujeżdża dzikie konie, jest szlachetny i zdobywa miłość córki bogatego dziedzica. Niekiedy ujeżdża dzikie byki. Ale pamiętamy z czasów szkolnych, jak trudno opanować byki! To też wyjątkowo uzdolnieni cowboye popisują się jazdą na bykach. Rozentuzjazmowani widzowie krzyczą: „b y c z o j e ź d z i!" — a operatorzy filmują te popisy, abyśmy mieli co oglądać w tygodniku dźwiękowym PAT'a.

AMERYKANKA — jest szczupłą, wysportowaną blondynką. Nie rozumie słów: „nie wolno" i „skandal". Uważa, że gdy się wyjdzie trzynaście razy zamąż — to przynosi pecha. To też ma conajwyżej dwunastu kolejnych mężów. Gdy przy, powiedzmy, dziewiątym mężu spotka swego pierwszego małżonka, mówi pogodnie:

— To mój d a l e k i krewny...

Amerykanka jest zaradna, energiczna i umie prowadzić auto. Ponieważ często — zupełnie niepotrzebnie — potrafi auto wykierować na ludzi, aresztują Amerykankę i grozi jej długoletnie więzienie. Ale okazuje się, że prokurator od pierwszego spojrzenia zakochuje się w niej, to też wkrótce blondas opuszcza szary dom, rozwodzi się ze starym, używanym mężem i wychodzi za prokuratora. Amerykanie uważają, że małżeństwa winny być dobrane. To znaczy, że np. piąty mąż powinien mieć też poprzednio cztery żony, aby doświadczenie małżonków było jednakowe.



Gangster jest dobrze uzbrojony...

GWIAZDA FILMOWA — mieszka n i e o p o d a l Hollywood, zarabia trzy miljony dolarów na kwartał. Otrzymuje codziennie wagon listów z całego świata. Za grube pieniądze oświadcza kategorycznie na pierwszych stronach dzienników, że plaster na nagniotki „Brawo" jest zupełnie bezkonkurencyjny i że gdyby była mężczyzną, to używałaby tylko żyletek „Wa'encja". Piszą o niej, że zdobyła serce Roosevelta oraz Mussoliniego i kto wie, czy Mussolini nie rozwiedzie się dla niej...



Piszą o niej, że zdobyła serce Mussoliniego...

GWIAZDOR FILMOWY — jest wysportowany i piękny, jak Valentino. Otrzymuje również wagon listów dziennie oraz jakieś tam miljony na rok. O d k r y w a j ą go przypadkowo i — rzecz dziwna — nie dostaje grypy, lecz kontrakt trzyletni z wytwórnią filmową. Mówi „siuuur" i „o kej", ale głosem głębokim i chwytającym za serce.

INDJANIN — opuścił swój wigwam, zakopał głęboko tomahawki, a na ścieżkę wojenną wstąpiłby chyba w tym wypadku, gdyby wybuchła wojna światowa. Indjanin dzisiejszy jest zmotoryzowany, jeździ na motocyklu, albo autem, studjuje na uniwersytecie i leczy blade twarze, a'bo pracuje w banku. Sam nie maluje twarzy, ale nie zabrania czynić tego swej małżonce.

KIDNAPER — czyli porywacz dzieci, kontentuje się małem, o ile jest to „małe" jakiegoś miljonera. Ponieważ w ostatnich czasach trudno

Dokończenie na str. 20-tej.



Zmotoryzowany wódz „Sokole Oko"...



Self-made-man jest człowiekiem czynu...

1

Zwierzęta przed aparatem filmowym

1. Nad oparami porannemi wschodzi powoli, majestatycznie słońce. — **2.** Młode wydry zdziwionemi oczami przypatrują się światu. — **3.** Kulon z młodemi. — **4.** A oto jak kuion wykluwa się z jajka, rozbijając jego skorupę swoim dzióbkiem. — **5.** Para gili. — **6.** Pokszewka karmi swe pisklę. Zdjęcia: W. Puchalski.

„Ssaki i ptaki należą do zwierząt na wysokim szczeblu rozwoju; w przyrodzie są zjawiskiem bardzo zwracającem na siebie uwagę, a w gospodarstwie człowieka stanowią od niepamiętnych czasów czynnik tak ważny, że bez nich ludzkość nie mogłaby się obejść. Nic też dziwnego, że człowiek zabierając się do opisywania przyrody, uwzględniał przedewszystkiem biologję ssaków i ptaków".

Tak brzmi wstęp do wielkiego dwutomowego dzieła Dra Jana Bogumiła Sokołowskiego, wydanego nakładem „Ligi Ochrony Przyrody.

W dziedzinie prac naukowych, dotyczących świata zwierzęcego, Polska stoi bardzo wysoko i szczyci się słusznie, że już w roku 1584 ukazało się w Krakowie pierwsze dzieło dotyczące tego tematu — Mateusza Cygańskiego „Myślistwo ptasze" — zawierające opisy życia naszych skrzydlatych przyjaciół. W ciągu dziejów poruszaliśmy ten temat niejednokrotnie, by tylko wymienić Stanisława Jundziłła i słynnego myśliwego i ornitologa Kaz. hr. Wodzickiego.

Ktokolwiek i w jakikolwiek sposób zbliża nas do przyrody i zapoznaje z nią, spełnia wielką rzecz dla kultury ogólnoludzkiej. Do tych należy autor filmów zwierzęcych p. Włodzimierz Puchalski ze Lwowa. Prace wymienionych wyżej autorów są ilustrowane rysunkami lub fotografjami; p. Puchalski uzupełnia w znakomity sposób ich dzieła zdjęciami kinowemi z dziedziny bytowania zwierząt. Jest onjedynym w Polsce i pierwszym fotografem amatorem, który chwyta na film nie fragmenty stałe, lecz zwierzynę w ruchu i to w jej najtajniejszych momentach. Jego zdjęcia — bez przesady rewelacyjne — przyczyniają się walnie do wielkiego dzieła poznawania przyrody, zupełnie też słusznie otrzymał za nie, na światowej wystawie łowieckiej w Berlinie w r. 1938 pierwszą nagrodę, mimo, że miał tak poważnego konkurenta, jak słynny Szwed Bengt Berg fotograf amator i autor wielu dzieł z opisem przyrody („Tajemnicza Wyspa", „Z kamerą filmową na słonie" i in.).

Dokończenie na str. 18-tej

2

3

4

5

6


Oto kryjówka fotografa, który postanowił podpatrzeć różne misterja życia zwierząt.

Nasz polski filmowiec zadawala się na razie wyświetlaniem swych filmów, ilustrowanych prelekcjami, które uzupełniają obrazy, przesuwające się na ekranie przed oczyma — znów bez przesady — rozentuzjazmowanych widzów. Dzięki p. Puchalskiemu jesteśmy świadkami cudu poczynania się życia. Wszak nie sam fakt wykluwania się ptaka z jajka, lecz możność obserwowania widocznego dla człowieka początku jego życia, to przeżycie nadewszystko wielkie.

By nas wprowadzić w świat przyrody, nie szczędził p. Puchalski ogromnego trudu fizycznego i bardzo znacznych kosztów. Nie łatwa to rzecz umiejętne podejście zwierzyny w jej najtajniejszych ostojach, zwłaszcza w okresie godów wiosennych. Jako myśliwy i miłośnik przyrody — co wprawdzie wydaje się paradoksem, niemniej jednak jest prawdziwe — zna autor filmu warunki bytowania i zwyczaje zwierzyny i umie je podchodzić z cierpliwością skauta Indjanina.

Kilkanaście godzin, z reguły, podchodzi bez względu na śnieg czy deszcz, dzień czy mrok nocny, moknąc i marznąc nieraz, zasiada ze swą kamerą w upatrzonem starannie miejscu, dodaje cierpliwie gałązkę do gałązki, delikatnie budując swój schron, zasiada w nim, przyzwyczaja zwierzynę do siebie, a potem dopiero fotografuje. Zdjęcia ptaków, zwłaszcza drapieżnych, bardzo ostrożnych dokonuje p. Puchalski z drzewa sąsiadującego z drzewem, na którem ptak uwił sobie gniazdo. Jedna z naszych ilustracyj obrazuje „gniazdo" naszego fotografa amatora. Siadywał w niem, a raczej tkwił w pozycji stojąco-wiszącej, 10 godzin, obejmując jedną ręką pień drzewa, a drugą dzierżąc ciężki aparat filmowy, zanim dokonał zdjęcia sokoła, karmiącego swe pisklęta.

Trzeba być fanatykiem przyrody, by takich rzeczy dokonywać! Obok, z góry planowanych zdjęć, podchodzą p. Puchalskiemu — to już rzecz szczęścia — pod lufę objektywu rozmaite sceny, jak np. para gilów-małżonków, czule do siebie przytulonych, albo młodych wyder, które złapały żabę i zabawiają się nią, niepomne matki zatroskanej, gdzie się zgubiły jej pociechy, lub kruków, atakujących zająca i wielu innych scen, obrazujących polską faunę.

Takich zdjęć nie widzieliśmy dotąd. Mimowoli nasuwa się pytanie, dlaczego Fundusz Kultury Narodowej nie zainteresował się dotychczas temi zdjęciami. Przedewszystkiem należałoby je uprzystępnić młodzieży szkolnej, nie tylko miast, ale i wsi, raczej zwłaszcza wsi, gdzie młodzież wybiera z gniazd jaja i niszczy je po barbarzyńsku. Z 300 przeszło gniazd, wykrytych w jednym rewirze, 100 zaledwie — jak stwierdził p. Puchalski — uniknęło zagłady przed wandalami wiejskimi!!!

Przyroda obdarzyła zwierzynę wszelaką w potężną broń — w znakomity węch, wzrok i słuch, które ją chronią przed napadem drapieżników i... człowieka. W tym okresie bytuje wszelaki zwierz w największych, możliwie najtrudniej dostępnych, gąszczarach. Zwłaszcza ptaki. Podejście pod gniazda i to jeszcze w chwilach, gdy ptak wysiaduje jaja lub karmi pisklęta, co szczególnie odnosi się n. p. do kulona, niemniej czujnego, niż żóraw, słynnego z ostrożności, jest nielada kunsztem. Trzeba być wielkim znawcą przyrody, by w takich warunkach dokonywać zdjęć.

— Że dokonywanie zdjęć jest męczące, to rozumię — zapytałem go. — Ale, czy siedząc na drzewie godzinami, nie nudzi się pan?

— Nudzi? — odparł — nudzi? Ale skądże. W przyrodzie jest wciąż tyle do obserwowania, że czas upływa prędko. Raczej ręce mdleją niż mózg. W przyrodzie wszystko jest w ustawicznym ruchu... to pszczoła przeleci, lub bąk swym basem zwróci uwagę, to mrówka biegnie pracowicie po pniu, gdzieś dzięcioł kuje w drzewo. Może właśnie ku mnie przyleci i będę go mógł zdjąć a bout portant... Teraz zając kicnął podemną, stanął słupka i bębni skokami... Czyż można się znudzić? Nawet w nocy nie brak podniet. Toć tylko w nocy widzi się fosforyzujące światło oczu zwierząt, robaczki świętojańskie lub falujące błędne ogniki... Nudzić się? Nie, panie! Tylko trzeba umieć i chcieć patrzeć...

No i gadaj tu z takim fanatykiem.

Kazimierz Szczepański.


Tok cietrzewi.


Stadko żórawi.

Z TEKI PSYCHOGRAFOLOGA

AUTORYZOWANE TŁUMACZENIE JANA MALESZEWSKIEGO

Wręczają mi wytworny bilet wizytowy. Czcionki biletu i jego druk zdradzają, że należy do człowieka bogatego. Tekst „Bankier A. L.“ i adres zagraniczny potwierdzają pierwsze wrażenie. Bankier jest świetnie ubrany, zachowanie jego pewne siebie, wielkoświatowe wskazuje na to, że przyzwyczajony jest, aby go przyjmowano z honorami.

Zachowanie bankiera może jednak zmylić jedynie pobieżnego obserwatora, jednak po bliższem przyjrzeniu mu się, łatwo zauważyć walki toczące się w duszy tego człowieka, który całą siłą woli musi je uśmierzać.

— Proszę, niech pan skreśli kilka słów, abym mógł poznać pańskie pismo — mówię do bankiera.

Energicznymi ruchami ręki pisze on następujące słowa: „Zajmuję się finansowaniem różnych przedsiębiorstw. Czy mam pozostać przy tem zajęciu, czy też je zmienić? Czy mam się ożenić? Berlin, dnia 16 stycznia 1933“.

Pełen oczekiwania spogląda mój gość na mnie. Jest, jak zwykle, zupełnie opanowany i sądzi, że dowie się odemnie dobrych rzeczy o sobie i znajdzie dobrą radę i pocieszenie. Usłyszy je zapewne, ale inaczej jakby się tego spodziewał, gdyż nieraz zmuszony jestem mówić ludziom takie rzeczy, którychby nie przyjęli od nikogo innego, ale które, w ich własnym interesie, muszą być powiedziane.

Słowa moje działają na niego, jak zimny tusz.

— Jest pan bankierem i chce pan jako taki cieszyć się zaufaniem. Postępuje pan jednak w ten sposób, że podkopuje pan to zaufanie. Ktokolwiek z panem wszedł w kontakt, więcej nie chce z nim mieć do czynienia, gdyż umie pan wyzyskać swego partnera. To też nic dziwnego, że pańscy klienci mają wrażenie, iż są oszukani. I niestety mają zwykle rację.

Bankiera aż poderwało z krzesła: twarz jego wyrażała oburzenie, a na czole pojawiły się krople potu. Stał się czerwony jak rak, tylko swemu wielkiemu opanowaniu zawdzięczał, że nie popuścił cugli swemu zdenerwowaniu. Widziałem, że trafiłem w sedno.

— Proszę, niech pan się przyjrzy swojemu podpisowi — rzekłem, gdy się trochę uspokoił. Czyż trzeba odczuwać taki paniczny strach przed paragrafami? Pan sam prowadzi ze sobą walkę, zastanawiając się nad tem, czy zdobyte pieniądze nagradzają pańskie wyrzuty sumienia. Nosi się pan od dłuższego czasu z zamiarem porzucenia swego zawodu, który nastręcza tyle możliwych pokus. Jest pan dumny z opinji uczciwości, jaką posiada pańska rodzina, a pańskie sumienie nie daje panu spokoju. Widzę też z pańskiego pisma, że niejednokrotnie zwracał się pan do lekarzy chorób nerwowych, aby znaleźć środek na bezsenność. Za mało pan sypia, jest pan zatwardziałym hulaką, który spędza noce po lokalach, to też nieraz nerwy pańskie odmawiają posłuszeństwa. Nawet takie sprawy, które pan chce uczciwie doprowadzić do końca, kończą się dla zainteresowanych katastrofą, gdyż pańskie nerwy pozbawiają pana kontroli nad nimi. Niech pan porzuci dotychczasowy tryb życia, chodzi wcześniej spać, niech pan zażąda od swego lekarza jakiegoś środka na wzmocnienie nerwów, a zobaczy pan, że z chwilą gdy dojdzie pan do równowagi, nie będzie pan potrzebował myśleć o zmianie zawodu.

Pewny siebie światowiec przypomina teraz małego chłopca, który z namaszczeniem słucha słów swego ojca. Maska wyższości, która kryła konflikty sumienia odpadła naraz od niego, natomiast wzbudziło się w nim zrozumienie sytuacji: rozmowa ze mną rzuciła światło na problemy, których nie mógł rozwiązać. Bankier sięga po pióro i kreśli następujące słowa: „Usłucham pańskiej rady i będę prowadził tylko uczciwe transakcje. Postaram się też chodzić wcześniej spać“.

I dziwna rzecz: pismo tego człowieka zmieniło się po naszej rozmowie niemal do niepoznania. Jasność poglądów, jaka zapanowała w jego umyśle usunęła z pisma pewne zagmatwanie, które było jej dominującą cechą. Teraz pisał nie człowiek dręczony wyrzutami sumienia, lecz człowiek, któremu zdjęto z ramion wielki ciężar. I dochodzi do głosu jego dobre wychowanie, pewna dziecinność i niezepsuty podkład charakteru.

Uradowany podaje mi serdecznie rękę i mówi:

— Może wydam się panu nieco śmieszny, ale czuję się jak nowonarodzony. Pozwoli pan jeszcze na niedyskretne pytanie: gdzie pan te wszystkie szczegóły mógł znaleźć w tych dwóch wierszach?

— Proszę, niech pan przyjrzy się swemu podpisowi. Litera „y“ na końcu pańskiego nazwiska przyjmuje postać paragrafu, a w połączeniu z innemi cechami pisma wyraża ta litera pańską ciągłą obawę przed konfliktem z prawem.

Zdarza się więc niekiedy, że człowiek, który w odpowiedniej chwili zwróci się po radę, zostanie zorjentowany w tajnikach swej duszy, która dotychczas przedstawiała obraz chaotyczny.

* * *

Pewna właścicielka przedsiębiorstwa handlowego w Bytomiu miała wkrótce wyjść zamąż za jednego dyrektora banku, który w mieście tem cieszył się jak najlepszą opinją. Zdawało jej się, że jako żona dyrektora banku — a może było to życzeniem jej przyszłego męża? — nie będzie mogła w dalszym ciągu prowadzić swego przedsiębiorstwa, to też postanowiła je sprzedać.

Krótko przed ślubem zjawiła się u mnie, pokazując mi pismo swoje i narzeczonego. Pisma zrobiły na mnie jak najlepsze wrażenie, to też oświadczyłem z zadowoleniem, że nie mogę nic zarzucić jej projektom małżeńskim, za wyjątkiem jednego jedynego szczegółu.

— Niech pani o tem pomyśli, że dzisiaj bardzo wielu dyrektorów banku jest bez pracy i nie wie co ze sobą począć. Dlatego też odradzam pani stanowczo sprzedaż jej przedsiębiorstwa.

Popołudniu zjawił się u mnie również brat narzeczonego, chcąc usłyszeć coś o swojem piśmie. Niestety pismo mówiło dobitnie o jego bliskiej śmierci, to też byłem zadowolony, że tematem rozmowy stało się przyszłe małżeństwo jego brata.

Niedługo po tych wydarzeniach otrzymałem list od jednego z dobrych znajomych właścicielki przedsiębiorstwa, w którym znalazłem potwierdzenie mojej ekspertyzy.

„...opowiadała mi z wielkim entuzjazmem o rozmowie z panem, od którego dowiedziała się tak ciekawych rzeczy o swem przyszłem małżeństwie, oraz otrzymała ostrzeżenie przed sprzedażą przedsiębiorstwa. Dzisiaj — opowiadała mi moja znajoma — został mój mąż naprawdę zredukowany i jestem niezwykle szczęśliwa, że usłuchałam rady Schermanna i nie sprzedałam przedsiębiorstwa“.

* * *

Gospodarstwo dzisiejszej epoki posiada w sobie coś denerwującego i nieprawdopodobnego. Żadna z teoryj uczonych, które ułożyli pracowicie w pocie czoła nie zgadza się z rzeczywistością, tworzącą nowe nieznane dotychczas sytuacje uważane przedtem za fantazję. Temu niezwykłemu tańcowi cen, zjawisk gospodarczych, gwałtownej haussy i baissy sekundują również inne objawy nie mające sobie równych. Towarzystwo ludzkie wyszło ze swoich właściwych mu ram i skręca się szarpane wewnętrznemi cierpieniami. A co za niezwykłe postacie spotykamy w ostatnich czasach!

Życie dzisiejsze jest dziwną mieszaniną szczęścia i nieszczęścia, siły i słabości, genjalności i bezmyślności, dobroci i zwierzęcości, a z tego całego amalgamatu jak jakiś złowrogi trujący kwiat wykwita typ człowieka, zwany „groszorobem“. Dla niego wszelkie moralne zapory upadają, godność ludzka jest pustem słowem, a wszystko koncentruje się jedynie na płaszczyźnie zdobywania wszelkimi sposobami majątku.

To co opowiem wydarzyło się mniejwięcej dziesięć tygodni przed załamaniem się finansowem bankiera D. Zwano go „latającym Holendrem“ i uważano go w Wiedniu za naj-

Dwie próbki pisma bankiera, który rujnował swych klientów; w podpisie da się zauważyć zakrętas, przypominający znak paragrafu.

wybitniejszego cudzoziemca, wchodząc z nim chętnie w interesy handlowe. Jeden z moich przyjaciół, będący dyrektorem w pewnym mniejszym banku wiedeńskim, pozostawał właśnie w żywym kontakcie z bankierem D., który wtedy był bankowi winien kilkaset miljonów koron.

Zbieg okoliczności chciał, że będąc u mojego przyjaciela znalazłem na jego stole kartkę zapisaną pismem pana D., którą przesłał niedawno memu znajomemu. Przyglądając się pismu, którego pochodzenia nie znałem, oświadczyłem dyrektorowi banku:

— Czy chce pan znaleźć się w sytuacji, z której niema innego wyjścia poza samobójstwem i czy chce pan zrujnować swój bank i pozbawić swych urzędników chleba?

Dyrektor banku był mojemi słowami niezwykle zdziwiony i przypuszczał, że dostałem chwilowego zamroczenia umysłu, to też oczywiście zaprzeczył wszystkim moim przypuszczeniom. Gdy zapytał mnie o powody mego pesymizmu na temat pana D. oświadczyłem:

bankiera D. zostało „wyczyszczone", a po dwóch dalszych tygodniach znajomy mój począł coraz sceptyczniej zapatrywać się na moje przepowiednie, gdyż dotychczas nic nie było słychać o jakiemkolwiek załamaniu się pana D. To też po pewnym czasie bank mojego znajomego zdecydował się wejść z nim w nowe transakcje finansowe. Zdarzyło się co przypuszczałem: w dwa tygodnie później bankier D., pozostawiwszy w Wiedniu sto miljonów długów bankowych, ulotnił się zagranicę. Wspomnę nakoniec, że również przewidziany przezemnie wypadek automobilowy zdarzył się podczas jego ucieczki, w którym pewien zaprzyjaźniony z nim lekarz został ciężko ranny.

* * *

Pewien bogaty kupiec węgierski, straciwszy cały swój majątek, jedzie do Wiednia, gdzie udaje mu się odszukać swego kolegę szkolnego, któremu opowiada swoją tragedję. Kolega jest bogatym fabrykantem, posiadającym wytwórnie tekstylne w Wiedniu i w Bernie. Decyduje się on dać swemu przyjacielowi reprezentację na Węgry i ustala z nim wysokość prowizji. Cała umowa odbywa się ustnie, gdyż ma do swego przyjaciela zbyt wiele zaufania, aby spisywać ją przed notarjuszem.



Giełda paryska stanowi jedno z najpotężniejszych centrów wszechświatowej finansjery.

— Znajduje się pan z tym człowiekiem w ciągłym kontakcie handlowym. Już kilkakrotnie człowiek ten był w niemałym kłopocie, mówiąc z panem, umiał jednak sprytnie zamaskować swoje wzruszenie, obecnie zaś zamierza „uderzyć" pański bank na większą sumę, to też stara się pana wciągnąć w coraz to większe zobowiązania. Jestem pewny, że pan D. wkrótce będzie musiał opuścić pośpiesznie miasto, przyczem posłuży się autem. Mogę panu jednak również powiedzieć, że wydarzy mu się w drodze wypadek automobilowy, gdyż przez cały czas będzie zmuszał szofera do niezwykle szybkiej, poprostu potępieńczej jazdy, chcąc jaknajprędzej przejechać granicę. Jeżeli pan odrazu nie zerwie kontaktu z tym człowiekiem, narazi się pan na szkody, które grubo przewyższą pańskie siły. Znając pana, odczuje pan tę katastrofę głęboko i sięgnie do rewolweru, to też radzę panu zerwać stosunki z panem D. powoli, krok za krokiem, aby nie zorjentował się w sytuacji, gdyż wtedy równałoby się to gwałtownemu załamaniu się bankiera, mogącemu odbić się również i na pańskim banku.

Słowa moje zrobiły duże wrażenie na bankierze, który rzeczywiście zajął się rozwikłaniem skomplikowanych stosunków finansowych. W przeciągu kilku tygodni konto

Zadowolony powraca zbankrutowany przedsiębiorca do domu, gdyż udało mu się uzyskać źródło zarobków, rosnących z każdym dniem. Wszystko jest w najlepszym porządku, tylko rozrachunki idą dosyć opornie. Lekkomyślny przyjaciel zawierza fabrykantowi i dopiero po ośmiu latach, gdy należy mu się od niego kwota dwustu pięćdziesięciu tysięcy pengő prowizji, zaczyna się nieco niepokoić o całą sprawę. Wobec tego jedzie do Wiednia, aby porozumieć się co do wypłaty należnych mu pieniędzy. Szef oddziału wiedeńskiego jest jednak bardzo zdziwiony i oświadcza mu, iż chciał mu dać tylko zajęcie za małem zresztą wynagrodzeniem, o żadnych jednak prowizjach nie było mowy. Wtedy powołuje się oszukany człowiek na sekretarkę, która była obecną przy rozmowie z jego szkolnym kolegą, oświadczają mu jednak, że jest nieobecną, gdyż bawi na urlopie. Rozmowa kończy się tem, że fabrykant sukna przyznaje się swemu koledze szkolnemu, iż nie może mu służyć nawet znaczkiem pocztowym.

(ciąg dalszy nastąpi).

Dokończenie ze str. 12-ej.

— Mama skłamała, skłamała! — powtarza w myśli przerażony chłopiec. Cała dziecinna wiara rozpada się w gruzy, a postać mamy blednie i ciemnieje. Bolesny skurcz ściska gardło i Pedro prosi ojca o pozwolenie udania się do swego pokoju. Czuje się trochę nie dobrze i boli go głowa. W swoim pokoju wtula głowę w ramiona i czuje, że dzieje się z nim coś okropnego. Nie jest zdolny do żadnych pośrednich uczuć. Skoro nie może uwielbiać i kochać, potrafi tylko nienawidzieć. Powtarza to słowo z dziecinnym uporem i nie wie, jak bardzo jego nienawiść podobna jest do miłości.

Dokończenie ze str. 12-tej.

o nowych mi'jonerów, a dzieci dawnych miljonerów podrosły i nie nadają się do porwania, wielu kidnaperów volens nolens przerzuciło się do innych fachów. — Pewien zwarjowany kidnaper trudnił się porywaniem teściowych, wychodząc z założenia, że teściowa też jest dzieckiem, chociaż mocno podchowanem. Niestety — wkrótce zbankrutował, gdyż nikt nie chciał wykupywać towaru. Gdy zrobił testament, okazało się, że ma na składzie 109 teściowych, chociaż porwał tylko 92. 17 sztuk podrzucili mu sprytni zięciowie. Tak się skończyła ta historja tego osobliwego przedsięwzięcia. Podobno niedawno w Stanach Zjednoczonych wykryto bandę dzieci, które trudniły się porywaniem kidnaperów — ale być może, że te dzieci są kaczką.

Cóż jeszcze można powiedzieć o Stanach Zjednoczonych i ich mieszkańcach? Sztandar U. S. A. zawiera 48 gwiazd — po jednej na oznaczenie każdego stanu. Ale że to sztandarowe niebo tak się zagwieździło, więc nowsze stany nie otrzymały już tego podporucznikowskiego godła. W każdym razie można powiedzieć, iż Amerykanie rodzą się z zasady pod dobremi gwiazdami.

To też w Starym Świecie uważa się przybyszów z U. S. A. za krezusów. Jest to o tyle słuszne, iż każdy Amerykanin ma wujaszka w Ameryce! Szczęśliwcy...

Kuchnia amerykańska jest praktyczna i nieskomplikowana. Wszystko w puszkach! Zupa w puszkach, pieczyste w puszkach, deser w puszkach. Jak się przyrządza taki amerykański obiad? Gosposia otwiera zręcznie kilka puszek, wylewa ich zawartość do trzech garnuszków, podgrzewa przez chwilę i podaje gotowy obiad. Mąż próbuje — krzywi się z niesmakiem, ciska talerzem w żyrandol.

— Hallooo? — dziwi się małżonka.

— Idziemy do restauracji — oświadcza pan domu.

— O key — odpowiada gosposia i wylewa obiad do zlewu.

Aczkolwiek Stany Zjednoczone są krajem wybitnie demokratycznym, żyje tam dużo osób wysoko urodzonych. Niektórzy nawet na 50-tem piętrze. W wielkich bowiem miastach amerykańskich są tak zwane drapacze chmur, krańcowe przeciwieństwo naszych poczciwych drapaczy ziemi. Największe przekleństwo w Stanach Zjednoczonych, to życzenie:

— A bodaj zepsuła się winda w domu, w którym mieszkasz!

W U. S. A. co drugi człowiek ma auto, podobnie, jak w Polsce co drugi człowiek ma na tramwaj.

Najpopularniejsza marka automobilów w Stanach Zjednoczonych, to „Ford". Ostatnio wypuszczono najnowszy, luksusowy model samochodów tej fabryki, w cenie 100 dolarów za tuzin. Na zakończenie warto jeszcze dodać, że U. S. A. jest krajem kasjerów. Tam bowiem uciekają wszyscy kasjerzy, którym sprzykrzyła się mała pensja za liczenie cudzych pieniędzy. Być może, iż dlatego Amerykanie są tak praktyczni, gdyż mieli wielu nauczycieli, którzy ich uczyli liczyć...

KSIĘŻYCOWA PIĘKNOŚĆ

Artystka filmowa Dorothy Arnold.



PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

Kiedy pogodne wrócą dni...

TANGO-PIOSENKA

SŁOWA: GUSTAW NOWAK

MUZYKA: PAWEŁ KALETA

Choć przy-szła wio-sna deszcz tka swe kro-sna, Na dwo-rze zi-mna sło-ta trwa...

W ser-cu zo-sta-ła na-dzie-ja ma-ła że wró-cisz znów po-go-do ma!

REFRAIN.

Że znów po-go-dy błę-ki-tne wró-cą dni, Sło-wa mi-ło-sne znów bę-dę sze-ptać Ci. Wszyst-kie te ró-że co słońce zbu-dzi znów U stóp Twych zło-żę dziewczy-no mo-ich snów. Chociaż dziś sło-ta za-snu-ła ca-ły kraj Ma-rzę o słoń-cu, w mej myśli ży-je przecud-ny maj.

Poeta i... szczotka do włosów

TADEUSZ BILIŃSKI

Opowieść prawie cudowna

Kiedy Jan Marja Asonancki odkrył po raz pierwszy w lustrze, że jego krucza czupryna coraz bujniej się rozrasta i zdradza wyraźną tendencję ku opadnięciu w tył, postanowił niezwłocznie zostać poetą.. „Człowiek o takiem owłosieniu nie może być bezwarunkowo kim innym, jak tylko „kochankiem Muz" — zauważył słusznie. A ponieważ nic właściwie nie umiał, poświęcił się temu „rodzajowi" sztuki, do którego — jak wiadomo — nie potrzeba żadnych studjów, ani specjalnego przygotowania. Został mianowicie... literatem.

Jan Marja pisał więc wszystko: wiersze. nowele, powieści, no i oczywiście dramaty. Gdy nazbierała się tego spora naręcz, poszedł z tem do znanego i cenionego krytyka, aby od niego „wydębić" ocenę i list... polecający do wydawcy. — Pochlebna wzmianka w „Kurjerze", a już sprawa mego ingresu na Parnas... załatwiona — myślał Jan Marja dobrodusznie, a... słusznie.

Atoli ceniony krytyk należał do owej gildy — rzadkich zresztą — krytyków, którzy nie robią sobie nic z tego, czy będą mieli o jednego śmiertelnego wroga mniej lub więcej i... dlatego wyrąbał Janowi Marji „gołą" prawdę: „Znamiennym i swoistym rysem wszystkich pańskich utworów, panie Janie Marjo — jest... absolutny brak talentu t. zw. „impotentia ingenii totalis".

Jan Marja podziękował lojalnie krytykowi za tę „szczerą" i „bezogródkową" ocenę, która świadczyła niewątpliwie o niezwykłem umiłowaniu prawdy.

Wszelako, kiedy znalazł się u siebie, przed lustrem i — tak jak zawsze — podziwiał swą poetycką czuprynę, stwierdził w sposób stanowczy, że krytyk jest skończone bydlę, ka'osz i rozumie się tyle na literaturze, co nieprzymierzając nosorożce na... filozofji Kanta.

Mimo to jednak owa druzgocąca ocena krytyka podziałała zabójczo na twórczość Jana Marji i napełnia duszę jego nieufnością do samego siebie.

zagościć w wyjałowionym mózgu. Jan Marja Asonancki stracił nagle wszelką inwencję. Godzinami siedział przy biurku, mierzwił bujną czuprynę, tarł wyniosłe czoło, marszczył groźnie jowiszowe brwi i natężał... umysł, ale żadna myśl twórcza nie chciała zagościć w wyjałowionym mózgu Jan Marja uciekł się nareszcie do wypróbowanego od tysiącleci środka, t. j. do pomocy Muz i tu... dopiero zaczyna się cudowna opowieść.

Otóż tak długo wzywał je żarliwie i modlił się do nich, aż nareszcie — aby nie być zmuszoną zatykać sobie uszu — zjawiła się Muza poezji. To jest raczej nie ona sama, a'e jedna z jej funkcjonarjuszek, dobra wróżka Grafomanja:

— Janie Marjo — oświadczyła uroczyście — moja władczyni przysłała mnie tutaj, aby Ci wręczyć pewien podarek.

I przy tych słowach złożyła w ręce poety... szczotkę do włosów... całkiem zwykłą szczotkę z drewnianym polerowanym grzbietem, na którym widniała pięknie inkrustowana... lira.

— Co... szczotka do włosów?! — zawołał zdumiony poeta. — A po jakiego licha mi szczotka do włosów? Nie potrzebuję żadnej szczotki, dość mi już jednej!

I chciał już ją oddać Grafomanji z powrotem. Ale Grafomanja z uśmiechem, który nie schodził z jej nadobnego oblicza, powstrzymała go od tego ruchem, pełnym godności i rzekła:

— Janie Marjo! To nie jest zwykła szczotka, jakby Ci się zdawać mogło — ale szczotka, jakiej żaden śmiertelny szczotkarz zrobićby nie zdołał. Bo posłuchaj jeno: — Ilekroć tą szczotką przeciągniesz po twej bujnej czuprynie, tylekroć wspaniałe pomysły twórcze zrodzą scię w twej głowie.

— A... to co innego... no to całkiem inna para kaloszy... W takim razie proszę się kłaniać i serdecznie podziękować pani Muzie dobrodziejce za królewski prezent.

I wziąwszy znów szczotkę w rękę, przyglądał się jej z niezmiernem zaciekawieniem.

— Tak, ale jedna jeszcze, ot drobnostka... dodała Grafomanja... Wiadomo Ci, Janie Marjo, że każda sztuka wymaga pewnych ofiar, które trzeba złożyć na jej ołtarzu.

— Jakież to są ofiary?

— Otóż, Janie Marjo. — Tak, jako rzekłam, kiedy tą szczotką przejedziesz po swych włosach, zaraz zrodzi się myśl twórcza, ale... równocześnie ..

— Co równocześnie?

— Równocześnie stracisz jeden włos.

— Jeden włos?! Tylko jeden włos?! Phi! Niema nieszczęścia! Mam ich, dzięki Bogu, co niemiara, mogę więc sobie spokojnie pozwolić na taką „ofiarę" — chełpił się Jan Maria Asonancki.

— No... tak... — odparła Grafomanja, uśmiechając się tajemniczo — ale... ale... trzeba Ci wiedzieć, że włos raz stracony, nie odrośnie już więcej i z chwilą, kiedy szczotki użyjesz, włosy przestaną róść.

Ale i na to zgodził się Jan Marja Asonancki i niechybnie poświęciłby całą swą królewską lwią grzywę, byle jeno zostać uznanym poetą i mieć „dobrą prasę" o sobie. Zapewniwszy o swej „dogrobowej" wdzięczności swoją opiekunkę Muzę Poezji, pożegnał jej wysłanniczkę Grafomanję, składając „soczysty" pocałunek na jej miniaturowej rączce.

Od tego dnia gwiazda Jana Marji poczęła zwolna wschodzić na horyzoncie twórczości rodzimej, aby po kilku latach nabrać takiej mocy promiennej i widoczności, że można ją było — że tak rzekę — dostrzec już gołem okiem jak kometę Orkisza. Słynny krytyk „niezależny", który w swoim czasie tak nielitościwie „schlastał" twórczość Jana Marji, musiał teraz przyznać jak niepyszny,

że omylił się — „ale trudną jest — pisał — ocena młodych talentów, jako iż „totalne beztalencie" może nieraz rozwinąć się z czasem nawet w genjusz, jak na to właśnie wskazuje rewelacyjny wprost rozwój talentu Jana Marji Asonanckiego". — „Ale, bo któż — pisał dalej — w kijance rozpoznać już może przyszłą wydoskonaloną żabę, albo w poczwarce... motyla? Jednem słowem, trudno odmówić Janowi Marji wielkiego talentu, choć w swoim czasie potrafił on go wprost „genjalnie" niejako „zataić".

Po kilku latach Jan Marja stał się najpoczytniejszym z pisarzy w całym kraju. Jego poezjami zachwycały się pensjonarki i dorośli, powieści pochłaniały stenotypistki i manikurzystki i dojrzałe mężatki... a dramaty, mając kapitalne role „samograje", nie schodziły z repertuaru.

Karjera Jana Marji była zatem „murowana", ale równocześnie stawało się rzeczą widoczną, że produktywność, względnie wydajność twórcza Jana Marji poczęła się coraz bardziej zmniejszać. Jego pomysły stawały się — niejako coraz „cieńsze" i niklejsze, że nie starczyło ich już nawet na nowele i poezje, nie mówiąc już o dramatach i powieściach. W najlepszym razie wystarczały na... aforyzmy.

I tak się stało, że ten „znany i uznany" Jan Marja Asonancki zwolna usuwał się w cień zapomnienia tak, iż zdezorjentowany krytyk począł się niepokoić nie na żarty.

„Czyżbym istotnie nie pomylił się poprzednio?!" — zadawał sobie pytanie.

Tymczasem Jan Marja Asonancki stał w domu przed lustrem i przyglądał się sobie melancholijnie, a względnie swej kapitalnej łysinie, dla której istniało jedno właściwe porównanie: kula bilardowa, rozpierająca się dumnie w miejscu, gdzie ongiś rósł nieprzebyty gąszcz dziewiczy bujnych włosów. Jeszcze tylko kilka srebrnych włosków błyszczało, jak chuderlawe palmy na bezkresnej pustyni.

Nie spieszył się jednak Jan Marja z „wyczesaniem" tych ostatnich źródeł natchnienia, a kiedy zdecydował się nareszcie, ukazała się niedługo potem w witrynie księgarskiej ostatnia jego książka, nosząca tytuł: „Srebrne włoski — czyli testament poetycki Jana Marji Asonanckiego".

Był to zbiór aforyzmów. Ostatnie posłowie poety, któremu słynny krytyk nie odmówił pewnego melancholijnego wdzięku starości, aczkolwiek uważa, że te „srebrne włoski" są już bardzo „cieniutkie" i „króciutkie" i nie przypominają dawnej bujnej twórczości Jana Marji tak, jak nie przypominały w niczem srebrne włoski, na łysinie Asonanckiego, dawnej jego bujnej czupryny, którą poświęcił w wiernej służbie Muzie Poezji.

Wkońcu jeden jedyny włosek pozostał niedostrzeżony poza uchem sławnego ongiś autora, ale ten ostatni z „rodu Siekierzyńskich" zabrał już Jan Marja, jako tajemnicę swej twórczości, do grobu.

— — — — — — — — —

Stosując się do wyraźnego życzenia Jana Marji Asonanckiego — wielbiciele jego i wielbicielki umieścili na grobie zasłużonego pisarza pięknie wyrzeźbioną w marmurze szczotkę, aczkolweik nie wiedziano, jaką szczególną rolę odegrała ona w życiu i twórczości uwielbianego pisarza. Prawdziwą zaś szczotkę z „lirą" (dar Muzy) złożono w oszklonej gablotce w muzeum tego miasta, gdzie Jan Marja żył i działał.

Pewnego dnia znikła ona jednak nagle w niewyjaśniony sposób i mimo energicznych — jak zawsze — poszukiwań P. P. nie zdołano jej odszukać. „Nieznanym sprawcą" był tymczasem młody poeta, o przebujnej czuprynie. Potrzebował koniecznie szczotki do włosów, a ponieważ „bajeczne" (!!) dochody z honorarjów autorskich nie pozwalały na zakupno tak potrzebnego przyboru toaletowego, „ściągnął" ją poprostu z muzeum i używa jej dotychczas.

Sława jego rośnie z dnia na dzień, ale... i jego łysina również.



RUMIANKI
FOT. EDWARD HARTWIG

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU „ASA“

na najpiękniej zastawiony stół wielkanocny

Tegoroczne Święta Wielkanocne obchodziliśmy ze zrozumiałych względów skromniej, niż w ubiegłych latach. Ofiarność na dozbrojenie kraju przeszkodziła niejednej pani domu w urządzeniu święconego w ramach, które w innych okolicznościach odpowiadałaby zamożności danej rodziny i uświęconym tradycjom. Z tych względów Konkurs Magazynu „As“ na najpiękniej zastawiony stół wielkanocny nie dał rezultatów tak okazałych, jak w latach poprzednich. Wahaliśmy się nawet, czy go nie odwołać, skoro życie stawiało przed nami tyle nieporównanie ważniejszych zagadnień. Tymczasem napływające na Konkurs zgłoszenia przekonały nas, że Czytelnicy nasi starają się mimo wszystko utrzymać dawną polską tradycję.

Po rozpatrzeniu nadesłanych zdjęć jury Konkursu zdecydowało odznaczyć dwa stoły wielkanocne dwiema cennemi nagrodami, a mianowicie:





Powyżej: PIERWSZA NAGRODA KONKURSU: 6-osobowy serwis stołowy (25 sztuk) z pięknie dekorowanej porcelany kremowej w stylu barokowym, ofiarowany przez fabrykę słynnej porcelany ĆMIELÓW S. A., istniejącą od 150 lat.

Na prawo: Stół wielkanocny p. GIKI HAWRANIK, DROHOBYCZ, który otrzymał pierwszą nagrodę.

Poniżej od lewej: Stół wielkanocny p. S. KLONOWSKIEJ, TORUŃ, który otrzymał drugą nagrodę (na prawo) torebkę damską w najmodniejszym fasonie, zakupioną w firmie ANASTAZY FRONCZ, KRAKÓW, UL. FLORJAŃSKA 17.





Pierwszą nagrodę Konkursu, tj. 6-osobowy serwis porcelanowy stołowy (25 sztuk), pięknie dekorowany w stylu barokowym, ofiarowany przez Fabrykę słynnej porcelany Ćmielów S. A., otrzymała p. Gika Hawranek z Drohobycza.

Drugą nagrodę w postaci pięknej torebki damskiej o wytwornym fasonie, zakupionej w Firmie Anastazy Froncz, Kraków, Florjańska 17, otrzymała p. S. Klonowska, Toruń.

Podając wyniki dziękujemy wszystkim naszym Czytelnikom za Ich życzliwy udział w naszym Konkursie. **Redakcja.**



Jak można zapobiec zaczerwienieniu nosa?





Na zaczerwieniony nosek nakładamy sporą ilość lanoliny tworzącą rodzaj rozgrzewającej maseczki.



Przypudrowanie twarzy kończy zabiegi przeciwdziałające czerwienieniu się skóry nosa.

Słusznym powodem wielkiego nieraz zmartwienia pięknej pani, jest uporczywie się powtarzające zaczerwienienie nosa, występujące nietylko w zimie przy chwilowem przemarznięciu, ale też przy lada okazji czy to wywołanej zdenerwowaniem czy chwilową niedyspozycją. Najczęściej załamuje się wtedy ręce z rozpaczy i pudruje nos w nieskończoność, co wcale nie poprawia sytuacji. A przecież sprawa nie jest przeważnie beznadziejna i przy pewnej dozie cierpliwości można złemu zaradzić.

Czerwienienie nosa wywołują zaburzenia gruczołowe i nieprawidłowości w krążeniu krwi. Obie sprawy można często domowymi środkami leczyć, starając się przedewszystkiem unikać wszelkich grzechów przeciwko hygjenicznemu trybowi życia. Codzienne ćwiczenia gimnastyczne, powtarzane rano i wieczór, zapobiegną lokalnym skłonnościom do ziębnięcia, objawiającego się przedewszystkiem w nogach i rękach, co zwykle chodzi w parze z czerwienieniem się nosa. Rozruszanie nóg w kostce przez odpowiednie ćwiczenia, poranna gimnastyka szyji i twarzy, oraz ćwiczenia oddechowe, już same przez się odniosą pewien skutek, pobudzając żywsze krążenie krwi w naczyniach włoskowatych.

Obok gimnastyki trzeba stosować odpowiednie kąpiele. Bynajmniej nie gorące, lecz letnie, a jeśli cieplejsze to uzupełnione zmywaniem zimną wodą. „Tusz szkocki" ze zmiennym, zimnym i gorącym strumieniem wody, oddaje tu najlepsze usługi. Działa on nietylko na lepsze krążenie krwi, ale i na system nerwowy, który w sprawach krążenia krwi ma zasadnicze znaczenie. Kąpiele, należyty wypoczynek, oraz sen przy otwartem oknie, oto dalsze wskazania, odnoszące się do błahej zdawałoby się sprawy, jak zaczerwienienie nosa, przyczyny, której sięgają jednak znacznie dalej niżby na pierwszy rzut oka sądzić było można.

Aby usunąć przyczyny, które wywołują nienormalne funkcjonowanie gruczołów dobrze jest odmienić reżim odżywiania się właśnie w obecnej porze wiosennej, kiedy organizm wygłodzony jest w zakresie witaminowym. Rozgrzewanie się alkoholem odnosi wręcz przeciwne skutki. Wyrzeknijmy się go na jakieś trzy tygodnie, jedząc w tym okresie jak najmniej mięsa, wyeliminowawszy wszelkie potrawy mączne, a wstawiwszy na ich miejsce świeże jarzyny i ich surowe soki, oraz owoce i nektary, czyli bezalkoholowe soki, sterylizowane domowym czy fabrycznym sposobem.

Nawiasem dodajmy, że trzeba baczniejszą uwagę zwracać na lepsze żucie pokarmów, bo nagminnym błędem naszego odżywiania się, jest właśnie szybkie połykanie pokarmów, bez ich należytego zgryzienia.

Przy zachowaniu powyższych ogólnych wskazań, zajmijmy się też czerwienieniem nosa. A więc rano i wieczorem masujemy go przez 5 minut, biorąc go silnie w dwa palce i przesuwając nimi od dołu ku górze. W ten sposób usuwa się nadmiar krwi z włoskowatych naczyń i pomaga systemowi krążenia krwi w jego zahamowanych chwilowo funkcjach. Staranniejszy masaż twarzy i szyji, skierowany również w kierunku odprowadzania krwi z naczyń włoskowatych, będzie tu bardzo wskazany.

Gdyby te domowe środki nie odniosły pożądanego skutku, byłoby to wskazówką, że trzeba się udać o poradę lekarską, gdyż sprawa miałaby tło poważniejsze.

Jeżeli idzie o doraźną pomoc przeciwko zaczerwienieniu nosa, to i w tym kierunku mamy parę sposobów zaradzenia złu. Należy nałożyć maseczkę z lanoliny na nos i potrzymać ją przez godzinę, usunąwszy później jej ślady przy pomocy waty. Można też stosować gazę napojoną benzyną, którą kładziemy na nos, trzymając ją aż do wyschnięcia, lecz nie rozcierając nosa. Po benzynie, jak i po maseczce lanolinowej, pudrujemy nos stale używanym pudrem.

Również i kuracja cytrynowa oddaje dobre usługi. Aplikujemy sobie przed porannem nałożeniem kremu na twarz okład z płatków cytryny. Powoduje to ściąganie się por skóry, zwłaszcza, jeżeli bezpośrednio potem nałożymy na twarz zimny okład. Potem dopiero kończymy normalny mniej lub więcej skomplikowany makilaż.

Jak widzimy, zasięg środków zapobiegających czerwienieniu nosa i rozszerzaniu się por skóry jest wcale pokaźny. Trzeba je tylko konsekwentnie stosować i odczekać parę tygodni na całkowite usunięcie niedomagania.

Mewa.















Dzieci uwielbiają doskonały smak pasty Colgate. Bez trudu można więc je skłonić do czyszczenia zębów, gdyż pasta Colgate uprzyjemnia tę czynność.



Na lewo: Płócienny kostjum dla mamy i taka sukienka dla córeczki, to najpraktyczniejszy strój na letnisko.

Poniżej: Suknia z wualu w kratkę z ciemnym gorsecikiem dla mamy, biała bluzeczka i granatowa fałdowana spódniczka dla córeczki, a dla najmłodszej pociechy „pajacyk" z batystu w duże grochy.

najstosowniejsze są sukienki o odcinanym karczku i b. szerokiej spódniczce, marszczonej lub fałdowanej. Kloszów lepiej unikać, gdyż są niepraktyczne do prania i lubią się w prasowaniu wyciągać. Przybraniem będą odmiennego koloru wypustki, ozdobne przymarszczenia, drobne zakładeczki, trochę haftu lub dziergane ząbki. Przy sukienkach płóciennych ładnie wyglądają przeciągane nitki odmiennego koloru. Robota jest łatwa: wyciąga się z tkaniny dwie nitki, do trzeciej przywiązuje się nitkę kolorową i wyciąga się ją również, a na jej miejsce wciąga się w ten sposób kolorowa. Ładnem przybraniem są też bawełniane pikotki, rodzaj galoniku z drobnych, dwustronnych ząbków, które naszywa się na materji sukienki, oczywiście tylko na jednobarwnej, bez deseniu.

Dokończenie na str. 31-ej.

Rysunki: Ewa Leo.



Czas pomyśleć o wyjeździe na letnisko

Zaczynamy już myśleć o wakacjach. Czerwiec to już pełnia lata — upał i kurz wypędzają nas z miasta — nas, to jest przedewszystkiem mamy i ich pociechy. Tatusiowie zażywać będą małżeńskich wakacyj, udawać słomianych wdowców i prażyć się w biurach, w oczekiwaniu na upragniony urlop. Ale dzieci mogą i powinny wyjechać.

Słońce, powietrze, las i woda wabią nieprzeparcie. Zamiast zakurzonych „kółek" na plantach, zamiast nudnych spacerów do miejskich, tłocznych parków czeka nieograniczona swoboda, prawdziwe wakacje na wsi, nad morzem lub w górach.

Zapobiegliwe mamy myślą już dzisiaj o letniskowej garderobie dla siebie i swych pociech. Z temi najmniej kłopotu: im mniej mają na sobie, tem są szczęśliwsze i zdrowsze; nawet na chłodniejsze deszczowe dnie ubranka ich powinny być lekkie i przewiewne, aby mogły zahartować przed miejską zimą. Ale i ten „listek figowy", który im wystarcza, może być gustowny, ładny i kokieteryjny. O ile chodzi o dziewczynki, — sprawa jest łatwa i prosta: z batystu, kretonu, płótna, „éponge'u" czy wualu, każda najprostsza sukienka może być ładna, byle była krótka, gustowna w kolorze i zgrabnie skrojona. Dla mniejszych dziewczynek

Na prawo (dalej): Shorty na szeleczkach stanowią wygodny strój dla młodszych i starszych dziewczynek.

Na prawo (bliżej): Strój mamy i jej dzieci powinien harmonizować w typie i kolorze.





PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

BUDYŃ Z RÓŻNYCH JARZYN. 5 dkg masła zasmaża się z 6 dkg mąki na blado-żółty kolor, poczem zalewa się zasmażkę szklanką mleka i miesza na ogniu na gładką masę. Osobno gotuje się w słonej wodzie różne jarzynki tj. małą różę kalafiora, 1/4 litra groszku, kilka karotek. 4 pieczarki, 20 główek szparagowych. Ugotowane jarzynki odcedza się, obsusza na sicie i większe kraje na części. Spore mleczko, odcięte z mostka cielęcego, parzy się wrzącą wodą, obciąga z błon, kraje w drobną kostkę Przygotowany beszamel, ostudzony miesza się z 4-ma ja jami, poczem dodaje się jarzynki, mleczko cielęce oraz pianę z 4 białek, napełnia masą tą formę budyniową i gotuje na parze przez 3/4 godziny. Przed podaniem po sypuje się budyń tartym parmezanem.

KALAREPKA ZAPIEKANA. 5—6 kalarepek obranych ze skórki, kraje się w grubsze plastry i dusi na maśle z troszką rosołu lub sosu z pod pieczeni. Do natartej masłem ryneczki kładzie się warstwami uduszoną kalarepkę i zmieloną szynkę (10 dkg). Napełnioną formę polewa się 1/4 litrem śmietany, w której rozkłócono 4 żółtka i zapieka potrawę przez pół godziny w gorącym piecyku. Podaje sie w tem samem naczyniu owiniętem serwetą.

RIZOTTO Z WĄTRÓBKĄ. Filiżankę ryżu wyciera się w czystej ściereczce, zesypuje do litrowego garnka dodaje łyżkę masła i praży na ogniu na blado-żółty kolor, poczem dolewa się 1 i pół filiżanki rosołu i dusi pod przykryciem lub o ile to możliwe wstawia garnek po zagotowaniu do skrzynki-samowarka na godzinę, w którym to czasie ryż się dogotuje na sypko. W razie braku tego pożytecznego aparatu dusi się ryż na kraju blachy, uważając, aby się nie przypalił. 30 dkg wątróbki cielęcej obciąga się z błony, moczy w mleku przez godzinkę, poczem kraje się ją w plastry i osmaża szybko z obu stron na maśle. Ugotowany ryż miesza się z usmażoną wątróbką i podaje obłożony duszonym zielonym groszkiem.

SOS SZCZAWIOWY Z JAJAMI. Parę garstek szczawiu obiera się z szypułek i po wypłukaniu i osączeniu z wody rzuca się na łyżkę spienionego w ryneczce masła, dodaje szczyptę soli i cukru i dusi bez przykrywania, aby nie stracił koloru. Kiedy zupełnie zmięknie, przeciera się szczaw przez sito, podprawia go 1/4 litrem śmietany, rozbitej z żółtkiem i łyżeczką mąki i zagotowuje go. Sos musi być gęsty. Osobno gotuje się jaja na twardo lub t. zw. w koszulkach (wybijane na gotującą wodę osoloną i zakwaszoną octem). Jaja układa się na salaterce i polewa przygotowanym sosem. Potrawa ta podawana być może na ciepło lub przygotowana przy obiedzie, służyć może na zimno do kolacji. Grzanki lub chleb z masłem jako dodatek.

PTYSIE. 10 dkg masła 1/4 l. wody i szczyptę soli zagotowuje się i zasypawszy 15 dkg mąki, ubija się na ogniu, aż ciasto od ścian naczynia się odrywa. Po wystudzeniu wbija się po jednem 6 jaj, ubijając ciągle, tak, aby się utworzyło jednolite gładkie ciasto. Łyżką umaczaną w zimnej wodzie, wybiera się z ciasta małe okrągłe kawałki układa je na masłem natartej blaszce i piecze w gorącym piecyku przez około 10 minut. Po upieczeniu i wystudzeniu przecina się ptysie, które silnie narastają i są wewnątrz puste, napełnia je bitą śmietaną i posypuje suto cukrem z wanilją.

OMLET CZEKOLADOWY. 4 żółtka i 7 dkg cukru uciera się na pianę, dodaje łyżkę kakao, 4 łyżki mąki i pianę z pozostałych białek, poczem wylewa się masę na masłem natartą i mąką posypaną blaszkę. Po upieczeniu zwija się omlet, póki ciepły, przy pomocy noża. Tuż przed podaniem, rozwija się go, smaruje marmoladą, kremem orzechowym lub kawowym, zwija z powrotem i kraje w skośne kawałki.

SERNIK. 15 dkg mąki, 10 dkg masła. 5 dkg cukru, 1 żółtko i łyżkę śmietany, zagniata się szybko na ciasto dość tęgie i odstawia je w chłodne miejsce na godzinę. W międzyczasie uciera się 8 żółtek z 14 dkg masła i 20 dkg cukru z wanilją, dodaje 50 dkg doskonale roztartego twarogu i miesza dokładnie razem. Wkońcu dodaje się pianę z 5 białek i 5 dkg mąki ziemniaczanej. Do sera dodać też można rodzynki i skórkę pomarańczową wedle upodobania; dodatki te nie są jednak konieczne. Tortownicę wykłada się ciastem przygotowanem i zapieka je w piecyku, poczem pokrywa się ciasto konfiturami, nakłada ser i wstawia powtórnie do piecyka na 30 minut. Z formy należy wyjmować po zupełnem ostudzeniu.

KAPUŚNIACZKI DROŻDŻOWE: Litr przesianej mąki rozetrzeć dobrze na stolnicy z dużą łyżką masła. Osobno rozbić 3 dkg drożdży w pół szklance letniego mleka, dodać łyżeczkę cukru, łyżkę mąki i dobrze wszystko rozkłócić. Gdy drożdże podrosną dać je do przygotowanej mąki, dodać 3 żółtka, 1 całe jajo i 4 łyżki kwaśnej śmietany. Ciasto to siekać na stolnicy aż od niej odstanie, potem wymisić, roztaczać na grubość małego palca, pokrajać w kwadraty, nałożyć kapusty, przyrządzonej, jak na pierożki, pozlepiać, układać na posmarowanej masłem blasze i postawić w cieple do wyrośnięcia. Potem posmarować jajkiem i piec w rurze. To samo ciasto, nieco osłodzone, można napełniać marmoladą. **Sc. Ko.**

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI DLA PAN DOMU



Długo nieczyszczone i nie odświeżane meble tracą połysk politury, dobrze jest więc co pewien czas je oczyścić szelakiem, rozpuszczonym w occie. Po takiej „kąpieli" wyciera się meble suchą, miękką ściereczką, a odzyskują one swą dawną świeżość.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 22 — **Maj** — Dni 31
Niedziela **28** Zielone Św.	Zupa śmietanowa z koprem. Budyń z młodych jarzyn i mleczka cielęcego. Kurczęta smażone z mizerją. Sernik. Kolacja: Pieczeń cielęca w majonezie.
Poniedziałek **29** Pon. Ziel. Świąt	Zupa szparagowa. Raki w śmietanie. Kapłon nadziewany z kompotem. Sałata surówka. Ptysie. Kolacja: Polędwica wieprzowa z sałatą.
Wtorek **30** Feliksa	Barszcz botwinkowy z fasolką. Kalarepka zapiekana. Befsztyki garnirowane z sałatą. Omlet czekoladowy z kremem. Kolacja: Rizotto z wątróbką.
Środa **31** Anieli † S. dn.	Rosół z groszkiem smażonym. Sztuka mięsa z sosem jajecznym. Wiedeńskie sznycle z marchewką i sałatą. Strudel z rabarbarem. Kolacja: Jaja na szynce.
	Czerwiec — Dni 30
Czwartek **1** Nikodema	Zupa grysikowa. Kalarepka z wody z masłem i bułeczką. Kalbsteki z mizerją i ziemniaczkami. Mędrzyki i sera. Kolacja: Makaron z parmezanem.
Piątek **2** Erazma † S. dn.	Krupnik na śmietanie. Knedelki bułkowe z sosem grzybowym. Leszcze w galarecie. Drożdżowy strudel z orzechami. Kolacja: Pstrągi marynowane.
Sobota **3** Klotyldy † S. dn.	Zupa jarzynowa z lanem ciastem. Płatki z szynką. Kotlety wieprzowe z głąbikami. Ciastka z agrestem. Kolacja: Jaja w sosie szczawiowym.

HOCKI-KLOCKI

— Czy to jabłoń czy wiśnia?

— Nie wiem, jeszcze nie doczekaliśmy się owoców.

Rozwiązanie z Nru 21-go.

DWA KAWAŁKI STALI.

Magnes może być rozpoznany dwoma sposobami: 1) Należy oba kawałki zawiesić na nitkach, nadając im położenie poziome. Namagnetyzowany kawałek stali będzie przybierać kierunek mniej więcej północno-południowy.

2) Własności magnetyczne posiadają tylko bieguny magnesu, a więc końce sztabki. Należy przyłożyć koniec każdego kawałka do środka drugiego, przyciąganie wystąpi tylko przy dotknięciu do środka sztabki nienamagnetyzowanej.

CZERWONI I ZIELONI.

Czerwoni pobili Zielonych w stosunku 1:0.

O METALACH.

$35^{15}/_{17}$ gramów złota i $4^{4}/_{17}$ gramów srebra.

SZEŚCIAN.

Liczba 84 dodana do 84^3 daje 592.788.

OSIEM ÓSEMEK.

```
   888
+   88
+    8
+    8
+    8
------
  1000
```

ROZRYWKI UMYSŁOWE

LIST.

Nasz koresponent przysłał nam następujący list, który mimo pozorów nie jest trudny do odczytania:

Każda litera reprezentuje inną cyfrę, a AC, BC itd. są oczywiście liczbami dwucyfrowemi.

Proponujemy Czytelnikom znaleźć liczbowe wartości wszystkich liter, występujących w liście.

DOROTA.

„Jakie to zabawne" — rzekła Dorota. — Lata mojej matki wynoszą połowę sumy lat moich i mojego ojca, a lata ojca i matki dodane do siebie dają 100 — przyczem ich lata są liczbami pierwszemi. Ile lat ma Dorota?



— Co znaczą te dziwne napisy na ścianie?

— Ach, to nic — tylko żona przypomina mi, co mam robić podczas jej nieobecności!

Dokończenie ze str. 6-ej.

skiego. Nie jesteśmy w stanie ogarnąć całości, asystując podczas próby, która nie uwzględnia kolejności obrazów i często nie wyczerpuje przebiegu akcji do końca danej sceny. Ale już z tego, co danem nam było usłyszeć w fragmentach, odnosimy wrażenie, że muzyka Mikuszewskiego bynajmniej nie jest tylko ilustracją instrumentalną widowiska, lecz stanowi, obok jego tekstu słownego i oprawy scenicznej, samoistny współczynnik, napewno nie odbiegający swym artystycznym poziomem, lecz w pełni dostrajający się do całości.

Wrażenia nasze znajdują pełne potwierdzenie z ust muzycznego kierownika „Studja 39", prof. Kazimierza Meyerholda, wybitnego muzyka krakowskiego. Z całą satysfakcją przypatrujemy się jego pracy przy fortepianie. Częstokroć wybiega ona daleko poza ramy samego kierownictwa muzycznego. Nic w tem dziwnego — prof. Meyerhold, to przecież „człowiek teatru", wyczuwający doskonale wymogi sceny i dlatego cenny dla reżysera współpracownik.

W sztuce Niżyńskiego, pomyślanej, jako efektowne widowisko, przeważają sceny zbiorowe. Stąd też na ewolucje sceniczne tłumu, kładzie się specjalny nacisk. Z przyjemnością stwierdzamy, iż nauka w „Studjo" nie idzie w las, albowiem aktorzy poruszają się płynnie, orjentując się należycie we wskazówkach reżyserskich.

— Któż to tam jeszcze stoi na podjum i przygląda się uważnie poruszeniom zespołu. — To Tadeusz Orłowicz, wyborny plastyk, utalentowany dekorator Teatru im. J. Słowackiego. Na nim spoczywa ważny obowiązek opracowania „strony wzrokowej" widowiska.

— Czy ma pan już koncepcję do „Księżycowego kawalera"?

— Dekoracyj nie będzie, za tło posłużą krakowskie mury... Co do mnie — powiada Orłowicz — kończę właśnie projekty kostjumów. Sądzę, że najwłaściwsze będą tu stroje zlekka stylizowane, zatrącające o groteskę.

W parę dni po tej rozmowie uzyskaliśmy od Orłowicza serję pysznych szkiców-projektów, odznaczających się pomysłowością i dowcipem. Czytelnicy „Asa" mogą sami się o tem przekonać na podstawie reprodukcyj, które zamieszczamy.

Jarosław Janowski.

Dokończenie ze str. 29-ej.

Na dnie upalne, najwygodniejsze dla mniejszych dzieci są t. zw. pajacyki, t. zn. rodzaj majteczek bufiastych ze staniczkiem, przechodzącym w szelki skrzyżowane na plecach.

Dla chłopczyków trudniej jest o strój zarazem praktyczny i ładny, ale przy odrobinie pomysłowości można to łatwo osiągnąć. Najważniejsze jest mieć dobry krój spodenek: muszą być dosyć szerokie a krótkie. Można zrobić je z lekkiej wełny lub popielatej flaneli na dnie chłodniejsze, z granatowego płótna na codzień. Bluzki są najładniejsze o kroju koszulkowym z dobrej panamy lub płócienka do prania; zastąpić je mogą również praktyczne marynarskie trykociki białe w granatowe lub czerwone paseczki. Dla młodszych chłopczyków dobre są spodenki na szeleczkach lub też przypinane do bluzki.

Ale i o sobie muszą mamy pomyśleć. Na letnisku szkoda nosić eleganckich sukien czy kostjumów z jedwabiu, praktyczniejsze i odpowiedniejsze będą jasne barwne płócienka, kretony i „éponge", ewentualnie surowe jedwabie i shantungi. Suknie takie mogą być fantazyjne i „rustykalne" w kroju, co faworyzuje w tym roku w szczególności moda szerokich, marszczonych spódnic.

Lady Like.

TO CO NAJCELNIEJSZE

PRZECZYTAMY:

Mieliśmy dotychczas bardzo wiele, niëraz zresztą ciekawych „vies romancées", które jednak w większości wypadków wykazywały ten jeden psychologiczny brak, że dany autor pisał o swoim bohaterze, lub swojej bohaterce, posługując się jedynie tem, co o nim napisano, bo nie mógł mieć bezpośredniego zdania o człowieku, gdyż go nie znał. Wprawdzie niejeden autor zdołał się wżyć w sytuacje, które opisywał, zdołał też stworzyć kapitalną sylwetkę, ale w tem wszystkiem brakowało „autentyzmu", bądź co bądź bardzo ważnego.

Zupełnie inną „vie romancée:: jest ciekawa książka Leona Daudeta p. t. „Tragiczne życie Wiktora Hugo", wydana ostatnio przez „Rój". Ujęta w formie nieomal powieściowej książka ta jest naprawdę nie tylko tworem fantazji, ale też dokumentem, z tego prostego powodu, że autor jest wnukiem wielkiego twórcy „Hernaniego", wiele więc szczegółów podanych przez niego, to nie tylko cytaty z książek biograficznych, ale wiadomości, które, w tej czy innej formie, pozostały żywe w najbliższem otoczeniu Wiktora Hugo i w jego rodzinie.

A mało jest postaci równie ciekawych, jak Wiktor Hugo, którego współcześni uważali za genjusza, nie mówiąc już o tem, że on sam był o swej genjalności szczerze przeświadczony. Przez całe życie tego człowieka snują się ciągle walczące ze sobą prądy jego duszy, a liczne dramaty osobiste, stają się to powodem głębokich depresyj wielkiego człowieka, to znów drogą reakcji, przeciwnie, dodają mu bodźca do dalszej pracy. Na Wiktorze Hugo sprawdza się powiedzenie pewnego psychologa, że genjusz, względnie naprawdę wielcy ludzie zupełnie nie podlegają normalnym przepisom, regułom i wyobrażeniom o tem, jak człowiek powinien postępować. Wielki pisarz, który bezwzględnie stworzył wspaniałe dzieła o niezwykłem napięciu poetycznem był z drugiej strony pełen bardzo przyziemnych cech charakteru, a jego „apetyt miłosny" może uchodzić za przysłowiowy. Wygnany przez okoliczności, po zamachu stanu prezydenta republiki Ludwika Napoleona Bonapartego 2 grudnia 1851, Hugo emigruje do Anglji, z której powraca dopiero w chwili, kiedy bitwa pod Sedanem „utraciła" drugie cesarstwo. Na schyłku życia spotyka go jeszcze jedna decepcja, która tak świetnie charakteryzuje tego niespokojnego, żyjącego w fikcji ducha: spodziewa się, że zostanie obrany prezydentem republiki, tymczasem jednak wpływ literacki autora „Nędzników" bynajmniej nie jest równoznaczny z popularnością w życiu politycznem. Po tragicznej śmierci jego córki, żony i dwóch synów i po popadnięciu w obłąkanie drugiej córki Adeli, Wiktor Hugo szuka ukojenia w towarzystwie swoich wnucząt i wtedy to powstaje jego piękna książka „L'art d'être grand père". Niezwykła plastyka narracji wielkiego francuskiego literata i polityka Leona Daudeta, grającego wybitną rolę w ruchu monarchistycznym Francji, wiele ciekawych szczegółów znanych zapewne tylko najbliższej rodzinie — oto m. in. najważniejsze walory tej fascynującej książki. Tłumaczenie Gabrjela Karskiego ogólnie dobre, miejscami świetne.

JGM.

IDZIEMY DO TEATRU...

...w Warszawie:

— do Teatru Polskiego, który, po bardzo interesującej, wywołującej liczne dyskusje inscenizacji „Hamleta", gra obecnie nową sztukę Stefana Krzywoszewskiego p.t. „Koleżanki", w reżyserji Zbigniewa Ziembińskiego.

Krzywoszewski w jednym z wywiadów prasowych oświadczył, że idea jego sztuki jest bardzo prosta. „Pragnąłbym odtworzyć mały skrawek naszego współczesnego życia, jego zmagań, trosk, klęsk i zwycięstw, radości i bólów. Życie zawsze było i będzie walką idei, instynktów i interesów. Czasem tempo zwalnia się, czasem podnosi. Obecnie walka jednostek, zbiorowości i ras staje się gorętsza, tempo we wszystkiem jest coraz śmieszniejsze, przeobrażenia obyczajowe i społeczne rysują się coraz wydatniej. Wszyscy dążą do szczęścia i do pomyślności, — która pozwala w spokoju korzystać z niego. Ideały w dzisiejszych warunkach prawie nieosiągalne, tem bardziej i tem niecierpliwiej upragnione... Bezwzględną walka o swoje dobro, choćby kosztem dobra innych". Zawartą w sztuce Krzywoszewskiego prawdę życia można ująć w jego własne słowa: „Życie trzeba kochać trzeba w nie wierzyć, sceptyzm i niewiara zawsze będą jałowe".



Z. Lindertówna, jako Gryzelda Zamoyska w dramacie F. Goetla „Samuel Zborowski" na scenie Teatru Narodowego w Warszawie.

Sztuka Stefana Krzywoszewskiego grana jest doskonale.

— do Teatru Kameralnego, który obecnie gra krotochwilę satyryczną Juljana Krzewińskiego p. t. „Exposé pani ministrowej". Jest to zabawna błahostka, dobra na sezon letni, a treścią jej fakt, że niejaki pan Stanisław Kowalski przez omyłkę został na kilkadziesiąt godzin ministrem i to stało się przyczyną wielu jego nieszczęść.

Główną rolę sztuki gra doskonale Relewicz-Ziembińska, obok niej wyróżniają się: Różańska, Bartówna, Kwaskowski, W. Ziembiński. Reżyserował sztukę dyrektor Adwentowicz.

...we Lwowie:

— do Teatru Wielkiego, gdzie wystawiono, cieszącą się wszędzie dużym rozgłosem, wyborną komedję Devala — „Subretka". Tytułową rolę gra świetnie Nina Karasińska, a jej doskonałym partnerem jest M. Węgrzyn. Wybornie grają również jak zawsze Leliwa, Brenoczy i Biliżanka. Piękne wnętrze skomponował Mieczysław Różański.

...w Łodzi:

— na przedstawieniu teatrów miejskich, których kierownictwo objęło zrzeszenie artystów w osobach Pietraszkiewicza, Biesiadeckiego i Modrzeńskiego. Teatry podjęły pracę wznowieniami sztuk niewygranych, jak przedewszystkiem „Madame sans gene". Rolę tytułową gra Biesiadecka, na kilka występów uproszono także znakomitą artystkę Irenę Eichlerówną.

Frekwencja publiczności w teatrach łódzkich, posiadających dobry zespół aktorski i reżyserski, w ostatnich tygodniach znacznie się podniosła, co świadczy dobrze o poziomie artystycznym przedstawień i zamiłowaniach publiczności.



Scena z komedji J. Krzewińskiego „Exposé pani ministrowej" granej na scenie Teatru Kameralnego w Warszawie. Od lewej: St. Kaskowski, W. Ziembiński, H. Różańska i P. Relewicz-Ziembińska.

Foto Forbert, Warszawa.

NA POLSKIEJ ANTENIE:

Audycje najbliższego tygodnia rozpocznie w niedzielę dnia 28 bm. o godz. 9.15 transmisja uroczystości z Biecza z okazji 350-lecia śmierci biskupa Marcina Kromera. Tego samego dnia o godz. 17.00 premjera słuchowiska p. t. „Wiatr wschodni, wiatr zachodni". Będzie to radjofonizacja świetnej powieści laureatki nagrody Nobla, Pearl Buck, „Spowiedź Chinki", w opracowaniu Z. Gawrońskiej. — O godz. 21.40 audycja literacko-muzyczna p. t. „Lwowskie majówki literackie".

W poniedziałek dnia 29 bm. o godz. 21.25 usłyszymy audycję Wesołej Syreny p. t. „Warszawa pojutrze", pióra K. I. Gałczyńskiego i J. Zagórskiego. — O godz. 22.10 Polskie Radjo transmituje ze Sztokholmu koncert pt. „Rapsody in blue" Gershwina.

We wtorek dnia 30 bm. o g. 16.30 odbędzie się recital kompozytorski Apolin. Szeluty, zaś o g. 21.00 nadaną zostanie dalsza część cyklu pt. „Opowieść o Moniuszce". Po prelekcji prof. Z. Jachimeckiego utwory Moniuszki grać będzie orkiestra P. R. pod dyr. G. Fitelberga.

We środę dnia 31 bm. o godz. 17.15 audycja w opracowaniu S. Łobaczewskiej pt. „Klaudjusz Achilles Debussy", zaś o godz. 21.00 koncert chopinowski, w wykonaniu Stanisława Szpinalskiego, poczem o 21.45 muzyka operowa z udziałem tenora B. Gigli.

We czwartek dnia 1 czerwca br. o godz. 18.00 reportaż muzyczny pt. „Pół godziny w Paryżu", obejmujący utrwalone na płycie piosenki, melodje uliczne, ballady ludowe itd. O godz. 21.15 premjera słuchowiska pt. „Most", w którem zadebjutuje przed mikrofonem znany poeta Ignacy Fik. Słuchowisko to wykonane zostanie przez artystów teatru krakowskiego w reżyserji W. Badulskiego. — W koncercie wieczornym o godz. 23.05 wykonane zostaną utwory polskich kompozytorów: Władysława Żeleńskiego i Andrzeja Panufnika.

W piątek dnia 2 czerwca o godz. 16.35 najpiękniejsze kwartety i kwintety klasyków wiedeńskich, o godz. 18.00 melodje z rysunków filmowych Walta Disney'a, o godz. 18.30 usłyszymy „Wieczór dawnej bajki polskiej", a o godz. 19.00 audycję poświęconą 20-leciu wskrzeszenia Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. O godz. 21.00 koncert symfoniczny w wykonaniu orkiestry P. R., którego program wypełnią utwory angielskie, m. i. Brittena i Elgara, wykonane w Radjo poraz pierwszy. Koncert ten wzbudza powszechne zainteresowanie.

W sobotę dnia 3 czerwca o g. 15.00 teatr wyobraźni dla dzieci nadaje słuchowisko pt. „Opowieści słoneczne". O godz. 19.15 koncert polskiej kapeli ludowej Feliksa Dzierżanowskiego cieszącej się zawsze dużem powodzeniem. O g. 20.15 usłyszymy transmisję ze Szwajcarji pt. „Święto jodlerów". Jodłowanie — to zwyczaj bardzo stary, który polega na tem, że śpiewający górale zmieniają swój głos naturalny w wysoki falset, wykonując różne, pełne wesołości sztuczki głosowe — O godz. 21.00 transmisja koncertu z międzynarodowej wystawy wodnej w Liege. O godz. 22.00 usłyszymy dowcipny skecz pt. „Detektyw pomógł". — Kończy program tygodniowy muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca. — Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczenia egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji. — Zakłady Graficzne "IKC", Kraków, Wielopole 1, pod zarz. Fr. Czajki. Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1.